

Pokażę Ci swój świat



Chodzież 2023

Prace nadesłane na konkurs literacki organizowany
przez Stowarzyszenie Osób po Endoprotezoplastyce Biodra
Bioderko Chodzież

Tytuł konkursu: „Pokażę Ci Swój Świat”

Kapituła konkursu:
Ryszard Cichocki, Mirosława Kutnik, Dominika Koczorowska

Przygotowanie tekstów, zdjęć:
Małgorzata Ješko - Doręgowska,
Ryszard Cichocki, Mirosława Kutnik

Prace literackie oraz zdjęcia opublikowano za zgodą autorów,
a prawa autorskie zostały przekazane organizatorowi konkursu.

Projekt okładki:
Małgorzata Ješko-Doręgowska

Skład i opracowanie graficzne:
Studio Projektu Graficznego
ART-WENA
Alicja Noska-Figiel
tel. 501 186 165
e-mail: grafika@art-wena.pl
www.art-wena.pl

Rysunki dodatkowe: Marcin Miklejewski, Marta Silska

Sfinansowano ze środków OWES ETAP

„Moja mama powiedziała nam: „Carl, załóż buty. Oscar, załóż protezę”.

*Potem dorastałem myśląc, że nie jestem niepełnosprawny,
ale że mam inną parę butów.”*

Oscar Pistorius

Drodzy Czytelnicy

Konkurs „Pokażę Ci Swój Świat”, ogłoszony przez Stowarzyszenie Osób po Endoprotezoplastyce Biodra Bioderko, jest inicjatywą, której celem jest ukazanie świata osób z różnym rodzajem niepełnosprawności, będących częścią i ważną, równorzędną składową naszej społeczności, naszej kultury.

Każdy człowiek w swoim zamkniętym przez trudności świecie, często staje się anonimowy, przybierając kolejne płaszcze ograniczeń, izolując się wśród tworzonych w realnym świecie barier, wykluczeń, a co gorsze - tracąc wiarę w swój potencjał, możliwości i siłę.

Rozmiaru trudności nigdy nie da się zmierzyć, ani zważyć żadną wagą – tym bardziej w relacji z rozmiarem siły, jaką ktoś inny posiada. Zresztą - najczęściej osoby tej nie znamy, nie wiemy nawet, kto mieszka za naszym płotem... Nie wiemy, gdzie i ile jest miejsc, które warto poznać. A może właśnie tam znajdują się odpowiedzi na ważne pytania. Nie wiemy, ile jest osób posiadających niepojętą siłę i odwagę, które często odkrywając świat na nowo znalazły własny, indywidualny sposób, aby swoje życie zobaczyć w kolorach, jakie nie każdy jest zdolny zobaczyć.

Poznajmy historie takich osób.

Pomóżmy im być częścią społeczności - przecież wystarczy założyć właściwe, dopasowane buty!

Zbiór nadesłanych na konkurs prac niech zatem będzie przekazem społecznym, który pozwoli zwrócić większą uwagę na osobowość osoby z niepełnosprawnością, na jej talenty, zdolności - bez oceniania jej sprawności fizycznej czy intelektualnej. Uczmy się od nich odwagi, kreatywności i radości życia, ale przede wszystkim siły i umiejętności doceniania piękna świata.

Otwartość BOHATERÓW OPOWIADAŃ ma skłonić czytelnika do tego, aby pochylił się nad tekstem i dostrzegł w nim to, co na dzień nam umyka, zatrzymać nad tym, co dzieje się obok nas i zobaczyć obok siebie drugiego, wartościowego człowieka.

Uczmy się ich siły i wspólnie poszukujmy sposobów na wartościowe życie – dobierając tylko każdemu odpowiednią i wygodną parę butów!

Losu się nie przechytrzy, ale można sprawić, by ludzie mogli się czasem uśmiechać.

Honorata Pilarczyk
prezes Stowarzyszenia Bioderko



Warto żyć

*Ty Panie tyle czasu masz
Mieszkanie w chmurach i błękicie
A ja na głowie mnóstwo spraw, na to wszystko jedno życie
A skoro wszystko lepiej wiesz
Bo patrzysz na nas z lotu ptaka
To powiedz czemu tak mi jest
Że czasem tylko siąść i płakać
słowa Edyta Geppert "Zamiast"*

Było dokładnie jak w powyższej piosence, aż...
...Pewnego razu w Konstancynie... Tak, to jest chwila, od której chcę zacząć swoją relację. Miała duże znaczenie w moim życiu, zaczęłam patrzeć inaczej na świat. Spotkałam tu dużo młodych ludzi z niepełnośprawnościami, radosnych, zakochanych, szczęśliwych i ja zdrowa, dwie ręce, dwie nogi, w domu dwie zdrowe kochane córki. Zadałam sobie pytanie – co ja tu robię, czego ja chcę. Dopiero bezpośredni kontakt z tymi ludźmi pozwolił mi zrozumieć, jak wielkie mam szczęście, nauczyłam się doceniać to, co mam. Pozyskałam nową pracę, odzyskałam wiarę w siebie, zaczęłam walczyć o siebie i swoje córki. Jestem niesamowicie dumna, bo mimo trudnej sytuacji córki ukończyły studia, usamodzielnily się, założyły swoje rodziny, a ja zostałam szczęśliwą babcią.

Co może kobieta po przejściach, teraz już wiem - może bardzo dużo. Ile trzeba było przejść, by powiedzieć – jestem szczęśliwym człowiekiem.

Nie chcę pamiętać złych rzeczy, cieszę się chwilą obecną. Widzę słońce, kolory, kwiaty, radosne dzieci. Mam w sobie pogodę ducha i umiem nią зараżać innych, moich znajomych, dla których bardzo często byłam pomocna w ich trudnych chwilach. Zawsze staram się szukać pozytywnych

aspektów. Nawet, gdy leżałam połamana w szpitalu, nie traciłam wiary, że będzie dobrze, że dam radę – nawet, gdy za chwilę uległam kolejnemu wypadkowi i praktycznie miałam cztery kończyny połamane.

Pamiętam taką sytuację po złamaniu drugiej nogi i ręki - skazana byłam na wózek inwalidzki, poprosiłam rehabilitanta o wizytę domową. W rozmowie telefonicznej przedstawiłam się, powiedziałam, ile mam lat i co mnie spotkało, i proszę o udzielenie wskazówek, co robić, jak robić, żeby było dobrze. Jakie było olbrzymie zdumienie tego Pana, gdy mnie zobaczył. Spodziewał się zupełnie innej osoby, z innym nastawieniem, tymczasem zobaczył uśmiechniętą osobę z olbrzymią wolą walki. Już na wstępie powiedział, że będzie dobrze, że wcale nie potrzebuję na ten moment codziennych wizyt, wystarczy stopniowo i powoli realizować ćwiczenia. Nauczył mnie, jak przesiadać się z tapczanu na wózek. Jakie ważne były dla mnie słowa tego Pana, umocniły mnie w wierze, że dam radę. Kobiety są silne, cierpliwe, wytrwałe, konsekwentne. Moja rehabilitacja trwała bardzo długo, bo aż 5 lat, ale wyszłam z tego zwycięsko, wreszcie odstawiłam kule. Jak miło mi, gdy słyszę słowa uznania, jak pięknie pochodzą od sąsiadów, znajomych, a nawet obcych osób.

Te moje zdrowotne doświadczenia sprawiły, że zaczęłam widzieć na ulicach ludzi z niepełnosprawnościami i uświadomiłam sobie, że jest ich bardzo dużo i jak nie można być obojętnym. Ja mam to szczęście, że mamy Stowarzyszenie Bioderko. Przyznam szczerze, że przed moim wypadkiem wiedziałam, kto to Pani Honorata Pilarczyk, nawet równoległe chodziłyśmy do szkoły, wiedziałam co robi, słyszałam o jej sukcesach, ale jakoś podchodziłam do tego bez emocji.

Teraz jest mi najnormalniej wstyd, sama jest osobą niepełnosprawną i z takim zaangażowaniem walczy o siebie, o mnie i wszystkich niepełnosprawnych. Jestem pełna uznania i podziwu dla takich osób, jak Honorata.

Teraz, kiedy można powiedzieć, że jestem “zdrowa”, cieszę się tym, co mam, kocham swoich najbliższych i wiem, że też jestem kochana. Jestem dumna, bo stanęli oni na wysokości zadania w moich najcięższych chwilach i zawsze mogą na nich liczyć. Moje samopoczucie, dobry nastrój oddaje krótki wierszyk dla moich wnuków:

*Jest taki chłopak i taka dziewczyna,
dla których rapuje babcia Alina
Olaf, Seweryn i Roma to to grupa niezwykciona
dla nich jest miejsce w Chodzieży niezmiennie
w następne wakacje będzie się działo,
wesoło codziennie, będzie się działo
babcia gotuje, truskawki kupuje i inne przysmaki
lody kaktusy, magnum i ciastka oreo
gry i zabawy bez końca, będzie się działo, będzie się działo*

Jednym słowem warto żyć

Alina Strugała

Życ trzy razy...

Życie otrzymałam trzy razy

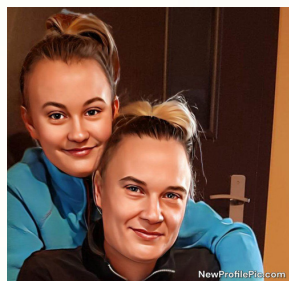
Byłam już małeńką „Andzią”. Byłam 23- letnią Anią i jestem 33- letnią mamą, Anną.

Małeńka „Andzia” – tak mówił na mnie dziadek – była wesołą, energiczną dziewczynką. Miała zostać pływaczką, ale jako Ania popłynęła z nurtem miłości.

Miłość zabrała mnie na odległe wyspy, gdzie miało się zacząć piękne życie. Miałam przecież pracę, przyjaciół i swoją „drugą połowę”. Mimo osiągnięcia dojrzałego już wieku – nadal lubiliśmy bawić się i szaleć bez troski, jak dzieci. Aż do pamiętnego Dnia Dziecka w roku 2012. Wtedy moim PORTEM stało się szpitalne łóżko, nad którym postawiono diagnozę, że moje życie się kończy.

Niebawem okazało się jednak, że dla mnie zaczęło się ono po raz drugi.

Tamtego dnia chciałam tylko odwiedzić mamę do pracy, ale niestety „spałam” wtedy siedem dni, a mama oglądała już tylko doszczętnie zniszczone auto, które nigdy po nią nie dotarło. Przez tamten, półroczny fragment mojego życia, byłam nagle „szesnastolatką” o długich włosach. Zderzyły się dla mnie dwa światy – ten, widziany w mojej pamięci i ten realny, który interpretowali mi najbliżsi – uświadamiając, że „szesnastolatka” ma już dwadzieścia trzy lata i dawno obcięte, pofarbowane na blond włosy. Faktycznie – taka ja leżałam wtedy nieruchomo, będąc jakby obcą dla samej siebie, a wiele wspomnień straciło dla mnie cenne znaczenie w mojej świadomości.



Stał się jednak CUD i mimo traumatycznych przeżyć – obrzęku mózgu i niemożności poruszania – szpital opuściłam na własnych nogach! Niebawem okazało się też, że CUD był podwójny, bo pod moim sercem biło jeszcze jedno, maleńkie serduszko.

Mimo wielu łez i obaw na świat przyszła moja ukochana, zdrowa córeczka Kaya.

Świat stał się znowu piękny, pełen kolorów. Dzięki córeczce na nowo odczuwałam emocje – wrażliwość. To było niesamowite – jakbyśmy obie przyszły na świat i odkrywały go razem.

Szczęście trwało półtora roku

Zaplanowany, rodzinny urlop w sierpniu zamiast wypoczynku przyniósł kolejną porcję dramatów. Kolejny raz siedziałam w samochodzie. To samo miejsce, pora roku, te same osoby wokół – tylko półtora roku później. Zaledwie półtora roku!

Dla moich rodziców i bliskich było to, jak *déjà vu*. Niestety finał był prawdziwy i inny. Moją ulubioną jazdę samochodem musiałam wtedy zamienić na codzienną już jazdę wózkiem inwalidzkim, w którym nie było kierownicy... Zmuszona byłam zaakceptować mój nieodnawialny ubytek w rdzeniu kręgowym, bo przecież w domu czekała na mnie ukochana córeczka.

Mimo że dawno opuściłam mury szkolne, na nowo musiałam się uczyć. Tym razem życia – znając je przecież już niby w teorii. Ja i moi najbliżsi, bez których z pewnością nie udałoby się funkcjonować tak, jak teraz i wychowywać dziecko. Nie było to wszystko łatwe, zwłaszcza, że w mojej nowej rzeczywistości niebawem stałam się samotną matką. Musiałam zmierzyć się wtedy z wieloma wyzwaniem, które jak się później okazało – stały się dla mnie największą motywacją. Takiej potrzebowałam, aby na nowo otworzyć się na świat i wyjść znowu do ludzi, od których przez dłuższy czas się izolowałam. Dla mojej córki, ale przede wszystkim

dla siebie, aby być matką i żyć. Przecież dostałam TRZECIĄ SZANSE!

Mimo że zmieniło się dla mnie życie „fizycznie”, nadal chcę żyć praktycznie, czerpiąc z każdego dnia co mogę, doświadczając tego, czego wcześniej nie było mi dane zrobić.

Mimo że zmieniło się i moje życie wewnętrzne i mam świadomość, że niebawem moje dziecko też stanie się dorosłe i pójdzie swoją drogą, to wiem, że muszę być silna – bo przecież mi się udało!

Pokonałam wiele własnych ograniczeń i barier. Wiem, że potrafię być matką i znowu pływać pod wodą. Wiem, że moje życie jeszcze się nie kończy i ciągle mam szansę przeżyć je, jak każdy, a nawet bogaciej, bo przecież po raz trzeci!

Zawsze będę miała obawy i będę się bała, ale kto się nie boi, ten nie docenia stanu poczucia bezpieczeństwa. Wierzę też, że spotkam jeszcze kogoś, przy kim moje obawy staną się małe, dlatego – chcę żyć i cieszyć się z rzeczy, które wcześniej wydawały się oczywiste. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś, trzymając kierownicę samochodu, zobaczę piękny świat i uśmiechających się do mnie ludzi.

Właśnie TYM WSZYSTKIM, którzy uśmiechem sprawili, że żyję trzeci raz (rodzicom, dziadkom, córce, bliskim, lekarzom, przyjaciom, ...) dedykuję swoją opowieść.

Dziękuję, że jesteście.

Wasza Ania

Anna Filipiak

Czym jest moje pisanie!

Pisanie jest momentem, gdy powstaje życie i coś się ciekawego zaczyna dziać, jest fizjologią, głodem, uczcą i szukaniem tego, czego się nigdy nie miało w dzieciństwie, a tak bardzo pragnęło. Może być rytmem serca i prawem oddechu, opowieści ciekawego wieczoru a może i ranka, i wieczorową porą spisanie dnia całego. O kochanku, kokietowaniu Boga, który prawie nie istnieje w mojej wyobraźni, który jest oszustem diabła, a może i anioła.



Pisanie bywa bólem i prośbą o łaskę, czy skazaniem na wieczną karę za czyny niepopelnione, czy zaletą zmarnowanego życia.

Pisanie – słowa napisane gdzieś w czaszce, zamknięte, czy otwarta dusza stłamszona jest jak biedna mała dziewczynka nienawidzona za życie. Oskarżona przez matkę za śmierć brata - wina niezawiniona. Nie obchodzić Was powinno, ile mam lat, a mam już więcej niż pół wieku, ile goryczy w sercu i czy się wystawiam na pośmiewisko, spisując to wszystko. Przelewam to wszystko z miłości do moich marzeń, przygody pisanej przez życie do starości, młodości, która już nie wróci.

Gdy pamięć zasypia, by odejść w zaświaty, wtedy pisanie rzeźbi zimny kamień i powstają piękne kwiaty. Kiedy ja odejdę, ono nieśmiertelne stanie się erratą, by ujawnić wszystkie fakty i daty.

Czym jest moje pisanie, wszystko to, co mogło być najcenniejszym przed życiem, doznaniem... można nazwać imieniem... życiem. Wszystko, co jest inspiracją, pięknem, delikatnością, dobrem, natchnieniem było, jest i będzie na zawsze już przeszłe moje życie.

Dałam Wam przez ułamek sekundy możliwość patrzenia na siebie, oddychania twoim oddechem, bycia częścią mojego zapachu i opiekunem mojego snu... Najgorszym, co może spotkać człowieka, jest niemożliwość wybaczenia sobie samemu przez dręczący go w trzewiach ból... Cokolwiek jednak bym nie napisała, nie powiedziała... Na zawsze już pozostanę... wrogiem... Pisanie żyje nadal ... prosząc o odpowiedź, jest na linii obrony, w ławie oskarżenia, w testamencie, w spowiedzi, w pokucie i w bitwie, w namiętnościach, wyznaniach, stanach udręczenia.

I choć udało mi się napisać miliony słów i powiedzieć miliardy ponoć mądrych zdań, żadne z nich nigdy nie będzie doskonalsze niż ułamek sekundy, w którym dostrzegłam, dzień i noc, prawdę i kłam i nic nie może tego zmienić. Wszystko, co chciałam zrobić, miało być tylko elementem mojego szczęścia. Za to wszystko, co było i jest oraz będzie we mnie już do końca moich smutnych dni. Od kilku lat każde wspomnienie to łyż, smutek i ból serca...

Tyle razy potrzebowałam, prosiłam Boga, aby nie przedłużał moich cierpień... Teraz jest za późno... Za późno na wszystko... Nie obchodzi Was jak mieszkam, ile mam pieniędzy, czy wstaję radosna po nieprzespanej nocy, czy potrafię dziś jeszcze wstać zmęczona, poraniona ze starych kości.

Nie obchodzi Ciebie, kogo znam, a kogo poznać chcę, ani skąd przychodzi. Nie obchodzi Ciebie, gdzie, co i z kim dzielę tę pustkę. Przepraszam, że zawracam głowę tym pisaniem, ale przeczytaj je uważnie, ponieważ są to rozbite jak szkło części mego serca i okruchy mego ducha...

Proszę...

Chciałabym, abyś, jeśli nie umiesz mnie osądzać, przeczytał i osądził, jak na to zasłużyłam. Tak, przegrałam przez to swoje życie... Które na moje nieszczęście jeszcze ciągle trwa... niekończące się

cierpienie kolejnych lat, którego nikt nie mógł zrozumieć, ponieważ nikt nie może uleczyć mojej duszy, która kona...

Na moim życiu ciąży piętno, którego nie potrafię wybaczyć duszy i światu...

Wszystkie drogi prowadzą do prawdy i do serca, mimo że podejmuje się nieraz złe decyzje z odwagą, bezinteresownością, a czasem – z odrobiną szaleństwa. Akceptuję swoje pasje i raduję się nimi z całego serca.

Ulotne, a może i wieczne.

To fragment mojej książki, napisanej do szuflady. Opisuję w niej dobre i te smutne chwile mojego życia. Wspomnienia i dzień terazniejszy dają mi chęci do życia. Moje rodzinne miasto Chodzież, które jest miejscem i tłem wydarzeń mojej książki pt. „Może jutro uda mi się zabłysnąć wspomnieniami

Spisanymi słowami Danuty na piaskach

Danuta Gościńska

Dwie szczęśliwe siódemki

Dzwonek telefonu... No, tak - dziś 13 lipca, dzień szczególny i chyba już wiem, kto się “dobija” - prawie zawsze jest pierwszy.

- “Wszystkiego najlepszego mamo! Zdrówka i pomyślności!!!” - tak, to on. Jedyny synek.

Zaraz po nim będzie wnuk i cała reszta kochanych i bliskich osób - tak, jak co roku.



Dwie siódemki... “Łup, łup - chrup, chrup...”

Tak, tak - gdy się ma siedemdziesiąt siedem lat, to ma prawo coś łupnąć i chrupnąć! Przeczytałam gdzieś, że średnio aktywny człowiek robi około 3 km dziennie, więc wychodzi mi, że prawie dwa razy okrążyłam Ziemię!!! Pokażcie mi samochód z roku 1945, który teraz jest w idealnym stanie i nic w silniku mu nie chrupnie... Nie ma takich!!! Wiem, że teraz wszystko w moich rękach - albo położę się z miną “olaboga” z powrotem do łóżeczka, albo ubiorę i “idę w miasto”. Wybieram drugą opcję... Pod blokiem stoi auto, “grafitowy bączek” (jak go pieszczośliwie nazwałam), który służył mi wiernie w czasie moich częstych wyjazdów do Niemiec, ale teraz uparłam się, że korzystać z niego będę tylko w ostateczności. Łup, łup...??? Chrup, chrup...??? O, nieeeeeee - właśnie zaplanowałam spacer na cmentarz, chodzieskie jezioro, a po drodze może jakiś hipermarket (w końcu nic tak nie poprawia kobiecie humoru, jak zakupy, prawda...?). Kiedyś usłyszałam od lekarza “przed chorobami najlepiej uciekać na własnych nogach” - wzięłam sobie tę zasadę do serca i szczerze polecam innym. Kiedy tylko mogę iść - idę. Tańczyć - tańczę. Ćwiczyć - ćwiczę. Śmiać się - śmieję (“śmiech to

zdrowie” to nie tylko pusty slogan - jego zbawienny wpływ na zdrowie został już naukowo udowodniony). Chciałam przygarnąć z psiego schroniska jakąś bidulkę na wspólne spacerki, ale póki co na moim balkonie umościły się dwa gołębie i wysiadują swoje potomstwo...

Współczesny świat otwiera przed ludźmi w moim i podobnym wieku szereg możliwości, o których kiedyś nasi Rodzice mogli tylko pomarzyć. Dziś nikogo na przykład nie dziwi mocno starszy pan na siłowni, pani na basenie czy urocze, siwowłose pary na rowerach, kajakach - moda na “bycie fit” spowodowała, że zamiast komentarzy typu “co ten stary piernik robi tu na szlaku?”, słyszy się w większości słowa szacunku i uznania. Tak - czasy się zmieniły i na całe szczęście dzisiejszy emeryt nie musi być kojarzony jedynie z przycinaniem krzewów na swojej działce (choć to też urocze skądinąd zajęcie!). Możliwości jest bez liku i tylko od nas i naszych upodobań zależy, w co chcemy się bawić. A zatem - do dzieła!!!

Dwie siódemki... “Zaraz, zaraz...

Ale o czym ja chciałam...???”

No, właśnie - czasem wyleci z głowy nazwisko sąsiadki spod “czwórki”, o tytule filmu, na którym popłakałam się tysiąc razy, nie wspominając... Czasem syn czy wnuk mówi o jakimś wspólnym zdarzeniu, a ja słucham i myślę “o czym on bredzi...?”. To bywa bardzo irytujące, a nawet zaczynam się tego bać. Czy słusznie...? No, chyba nie - mózg to też żywy organ i ma prawo, po iluś tam latach mniej lub bardziej intensywnego używania, do bycia mniej sprawnym. I tutaj znów kłania się stara prawda - chcesz usprawnić pracę umysłu, to po prostu go używaj! Tak właśnie było w moim przypadku, a zaczęło się od podejmowania wyzwań. Gdy zobaczyłam pierwszy komputer wnuka, pierwszy komórkowy telefon syna, to pierwszą moją myślą było to, że “to diabelstwo nie dla mnie”... Oj, jakże się myliłam!!!

Nie wiem, na ile sama dla siebie, a na ile na przekór innym, ale postanowiłam zgłębić tajniki cyfrowego świata - oczywiście w stopniu, który wystarcza mi do sprawnego poruszania się po internetowych stronach czy społecznościowych mediach. Cóż... Dziś smartfon i laptop są moim oknem na świat, źródłem informacji i... świetną gimnastyką umysłu! Oczywiście, nie każdy musi się w to wkręcić, ale mamy mnóstwo innych umysłowych rozrywek. Uwielbiasz krzyżówki...? Spróbuj tych trudniejszych typu "jolka", "z przymrużeniem oka" albo "hetmańskiej". Grasz w karty...? Spotkaj się ze znajomymi i po prostu zagrajcie! Może w coś trudniejszego typu brydż czy kanasta? A może pójdiesz na całość i zaczniesz uczyć się grać w szachy...??? A gdy czujesz, że "w duszy ci gra", to spróbuj nauki gry na jakimś instrumencie - to świetny trening naszych półkul mózgowych! Kiedyś, bardzo dawno temu, grałam na fortepianie i może właśnie przyszedł czas, aby syn-muzyk pokazał mi kilka akordów, abym sama mogła sobie zaakompaniować "Walc Embarras"...??? Świat rozrywek umysłowych dosłownie nas otacza i nawet oglądanie "Koła fortuny" ćwiczy nasze szare komórki. A zatem - do dzieła!!!

Dwie siódemki... *"Siedemdziesiąt siedem urodzinowych świeczek..."*

Eeeech, dobrze, że są te świeczki-cyferki, bo gdzie ja bym kupiła taką ilość, hehehehe!!! A jeśli już udałooby się je kupić, to tort musiałaby być wielkości maxi pizzy!!! Same zakupy wprowadziły mnie w szampański nastrój, bo świeczki kosztowały 12 zł, torcik 80, a starość zaczyna się, gdy te pierwsze są droższe od tego drugiego... :)

Siedemdziesiąt siedem lat - dużo to czy mało...? Cóż, każdy chce żyć "długo i szczęśliwie" i każdy chce umrzeć młodo, ale najpóźniej jak się da... Sprzeczność...? Niekoniecznie.

Bo czymże jest tak zwana "starość"...? Jest takie oklepane stwier-

dzenie, że to tylko PESEL i wiecie co...? Coś w tym jest! Ta "starość" to proces, a ten, jak każdy inny, może być sterowany i regulowany przez tego, kogo on dotyczy. Starzejemy się już chwilkę po narodzinach i gdy tylko zaczynamy być tego świadomi, to już bierzemy sprawy we własne ręce... Siedemdziesiąt siedem lat - od razu chciałoby się powiedzieć "Boże, kiedy to zleciało...?!". Ale gdy się zastanowimy, to dociera do nas myśl, ileż to rzeczy się w naszym życiu wydarzyło! Rzeczy pięknych, rzeczy ważnych, doniosłych, wzruszających, ale i tych, o których chcielibyśmy na zawsze zapomnieć, a które też nas ukształtowały. A ile jeszcze przed nami! Dla każdego seniora jednym z najważniejszych wydarzeń jest przejście na emeryturę, przy czym każdy odbiera je inaczej - są tacy, którzy wreszcie czują się wolni, a są tacy, dla których funkcjonowanie w nowej rzeczywistości może stać się bardzo trudne. Osobiście namawiam wszystkich do przyjęcia postawy "mogę wszystko, nie muszę już nic" i korzystania z tej tak zwanej "jesieni życia" pełną piersią. Bo wcale nie musi tak być, że starość przypomina emerytowanego aktora, który smętnie siedzi na widowni i patrzy jak jego ulubione role grają inni - sami możemy na tej scenie stać, grać i słuchać zasłużonych braw...

Krystyna Julita Górska

Konkurs literacki



Pewnego razu, gdy słońce zachodziło nad Jeziorem Miejskim, przechodząc przez kładkę, zauważyłam pięknego i delikatnego łabędzia, który postanowił przyplłynąć do mnie. Jego wzrok stał się dla mnie drogowskazem, aby na nowo przyjrzeć się urokowi mojego miasta – Chodzieży. Następnie, idąc wzdłuż Promenady Miejskiej, dostrzegłam grupę alkoholików, którzy rozmawiali o kwestiach znaczących dla każdego z nich. Aby przejść obok nich, musiałam starać się nie widzieć tego, co mogło wydarzyć się za chwilę. Gdybym poszła jeszcze dalej, utonąłabym w odmętach zapomnienia o mojej drodze do miejsca, gdzie mogę odpocząć.

Kolejnym ważnym punktem wędrówki był wielki płot z ogromnym, przerażającym psem, który prawie rzucił się na mnie, a ja odskoczyłam jak baletnica. W gąszczu drzew i niespełnionych pragnień, stałam się ofiarą czających się spojrzeń i ciekawskich rozmów. Idąc dalej, a długość mojej ścieżki wynosiła 5,1 km – spotkałam zjawiskowy bal na Łazienkach Chodzieskich, gdzie młodzież tańczyła w rytm Studniówki, aby za chwilę przekroczyć próg dojrzałości. Na parkingu stały piękne limuzyny- volkswageny garbusy, a także miejskie rowery Chromki. Muzyka była subtelna, za chwilę cisza stała się zbyt rozbrzmiewająca, a ja uciekałam w swoje myśli, aby zanurzyć się w kolejny płas do maratonu. Gdy szłam i szłam - przekraczając barierę przeszło 42 km, zostawiłam jedną łzę na pomoście przy Stacji WOPR. Płakałam nad własnym losem, gdy nagle jazzowe nutki przyleciały ze strony Łysej Góry. Kolejnym punktem kulminacyjnym była pływalnia, gdzie zjeżdżając w rurze pełnej wodnych, kolorowych mgnień lata, stałam się wspaniałą

dziewczyną, która przeszła kolejną barierę, aby dojść do miejsca Chodzieskich Targów Gospodarczych. Roznosząc ulotki, nie mogłam sobie wyobrazić, dlaczego przechodzący ludzie ciągle wyzywali mnie i dręczyli swoimi wyrzutami sumienia. Aby zapobiec katastrofie, stałam się kolejną podporą mojego miasta, gdy postanowiłam rozreklamować jego atuty. Przystankiem w mojej podróży była też ulica Harcerska, gdzie idąc śladami Marcina Kydryńskiego, postanowiłam przejrzeć się w lustrze – zawędrować śladami Blues Pubu. Tam, słuchając Dżemu wraz z przyjaciółką Agnieszką, uświadomiłam sobie, że pajda chleba ze smalcem i piwo oraz martini to ciekawe zakończenie dnia.

Idąc ulicą Raczkowskiego, postanowiłam zapoznać się ze śladami 13-letniego Antka z „Tajnego rozkazu” Tadeusza Matraszka. Bohater powieści uczył się języka niemieckiego i poznawał historię swojego miasta. Idąc Małym Rynkiem, natknęłam się na młodzież idącą do Liceum Ogólnokształcącego, podążali na zajęcia z języka polskiego i historii, aby za kolejnym zakretem stać się absolwentami szkoły, która obchodziła swoje 100-lecie w 2020 roku. Jej boisko było schronieniem dla Johna Lennona i The Beatles, a dawne dzieje szkoły uwidoczniły moją klasę 4 D, która w Pierwszy Dzień Wiosny postanowiła zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie.

Największą frajdę miały Asia, Magda, dwie Agnieszki, Aneta i Ania. Stojąc i uśmiechając się do obiektywu aparatu fotograficznego, spostrzegłam pustkę w mych oczach, gdy pomyślałam o samotności i odczuwaniu bólu, gdy wszystko wokół było takie radosne. Koleżanki próbowały mnie rozśmieszać np. w Dniu św. Walentego, ale nie udało im się wprowadzić mnie w błąd.

Będąc uczennicą ze średnicą 4,3 wraz ze dwiema Magdami, postanowiłam być kimś, kto postara się zdobyć wiedzę i umiejętności, aby poradzić sobie w dalszym życiu. Moja podróż do Nottuln, gdy nie mogłam pojechać tam z Sylwią, która była bardzo zdolną uczennicą Joanny Ciepluch-Łach – była ciekawym ujawnieniem tego, czego mogłam nauczyć się na lekcjach w gimnazjum i w kuchni oraz na

spacerach w Oer-Erkenschwick. Lekcje religii wraz koleżankami z klasy były spotkaniem z uduchowioną stroną mojej osobowości, gdy Asia z 4 A pilnowała płaszczy w szatni. Próbna matura z matematyki z Andrzejem Kalupą była ważnym etapem na drodze ścieżki zawodowej, a religia z ks. Janem Stanisławskim stała się przepustką do otrzymania sakramentu małżeństwa. U Doroty Feldman na lekcjach historii Sylwia tańczyła przy mapach, a praca o Bolesławie Chrobrym pomogła mi spojrzeć na dzieje Piastów inaczej niż na egipskie hieroglify i pismo klinowe.

Wraz z późniejszym nauczycielem Jarosławem Brzezińskim cała klasa poskładała swoje myśli, kończąc je na II wojnie światowej. Kasia, która była miłośniczką książek i biologii, była dla mnie podporą i najlepszą koleżanką, z którą siedziałam w ławce. A Tadeusz Szumowski, który był fenomenalnym profesorem języka polskiego, stał się dla mnie przewodnikiem po meandrach literatury i kultury, gdy wystawialiśmy „Antygonę” Sofoklesa. Pan profesor robił dowcipy, zwłaszcza wtedy gdy pisałyśmy pracę literacką o „Lalce” Bolesława Prusa, potrafił wyjść z klasy i wrócić za pół godziny. Pani profesor Olsza, która była ostrą nauczycielką, z czasem otworzyła mi oczy na zakola, izobary, moreny oraz stolice i rzeki państw świata. Pani profesor Katarzyna Szumowska-Kalinowska była kosą jak jej ojciec. Będąc wcześniej nauczycielką zasadniczej szkoły zawodowej, objawiła teraz swoją klasę, gdy pisałam kartkówkę z powieści „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego. Jej uwagi dodały mi skrzydeł, gdy postanowiłam zacząć oglądać „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy.

Kiedy zainteresowałam się filmami, oglądając je w domu do późnych godzin nocnych, okazało się, że jestem artystyczną duszą i lubię oglądać Charliego Chaplina, Quentina Tarrantino, Larsa von Triera, Petera Weira oraz Sophi Coppola. Na lekcji biologii u Marii Nowak były zajęcia z anatomii żab, odpytywała nas z budowy pantofelka oraz z budowy mózgu. Jej urok objawił się wtedy, kiedy pytała o szczegóły i starała się wytłumaczyć nam, co w trawie piszczy, jeśli chodzi o mitochondria i DNA. Pani profesor Elżbieta Kaczmarek była żyłą, która zwracała uwagę na zadania z fizyki

i wykladała nam teorię z astronomii, prosiła o przygotowanie projektu budowlanego swojego mieszkania. Koleżanka Magda była świetna z w-fu, a układ aerobiku u pani Danieli Bogusławskiej, stał się okazją do pokazania swoich umiejętności fizycznych. Lubiłam grać w siatkówkę i na jednym z meczów siedziałam na ławce rezerwowych. Nie lubiłam skoku przez kozła i przez skrzynię, a także skoku w dal, ale uwielbiałam ścigać się na 60 m. Idąc przez boisko przy bloku nauczycielskim, ujrzałam internat, gdzie pomagałam w lekcjach matematyki Anecie i Ani. Zbliżając się do domu moich chrzestnych Janiny i Krzysztofa, natrafiłam na Chodzieski Dom Kultury, gdzie przy dźwiękach koncertu „Bliżej gitary” całowałam się z moim mężem Marcinem. Wspólne wypady na Warsztaty Jazzowe oraz wieczory w kinie zbliżyły nas do wspólnych pasji i rozwinęły nasze poglądy na temat „Terminatora”, „Gwiezdných wojen” i „Indiany Jonesa”. Nasza wędrówka w dniu pogrzebu Jana Pawła II stała się okazją do rozmów w pobliżu Jeziora Strzeleckiego, gdzie postanowiliśmy wziąć ślub w „Strasznym Dworze”. Nasze pasje teatralne skupiły się wokół „Pieprzu czy wanilii” w wykonaniu grupy teatralnej Dariusza Olejniczaka. Tam, na strychu Chdk-u, poznawaliśmy smaki potraw, a kończąc nasz spacer, na scenie ujrzeliśmy widownię pełną maskotek. Po spotkaniu Kojota na korytarzu Chdk-u, przeprowadzono ze mną wywiad radiowy.

Pewnego razu na dyskotecę alternatywnej postanowiłam wyjść wcześniej, a było to 31 października, aby dotrzeć do domu w Ratajach. Dyskoteki te były ciekawą odskocznią od szarej rzeczywistości, chociaż byłam na nich zaledwie kilka razy. Wraz z Agnieszką przekroczyłam próg byłej Biedronki, aby poznać smak piwa i rozmów z interesującymi ludźmi. Były też dźwięki rocka i muzyki, która utuliła mnie do snu w ramionach muzyczno-teatralno-tanecznej Chodzieży, która wniosła do mojego życia odrobinę czegoś więcej, niż samą codzienność szarego zgiełku i ulic pełnych deszczu, pozwoliła podnieść się na nowo i uzyskać radość życia, realizować swoje marzenia i pasje wraz z mężem.

Anna Kaczmarczyk

Moja koleżanka

Moja niepełnosprawność mnie zadziwia, bo chociaż jest już ze mną od prawie 37 lat, to ciągle stawia przede mną nowe wymagania. W dzieciństwie uczyłem się z nią żyć, a ona zabierała mi beztroskie chwile, które musiałem przeznaczyć na wizyty u specjalistów, ciężkie i systematyczne ćwiczenia usprawniające. Zamiast ten czas spędzać z moimi kolegami, na świeżym powietrzu skacząc po drzewach. Lecz ja nigdy z tego powodu nie zastanawiałem się, dlaczego mnie to spotkało? Może dlatego, że nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, czym tak naprawdę jest dziecięce porażenie mózgowe i jakie niesie za sobą skutki.



W okresie młodości i gimnazjalnym, stało się przyczyną drwin i wyzisk ze strony kolegów z klasy. Jednak w liceum czułem się jakby jej nie było, odeszła w otchłań. Zawsze byłem uśmiechnięty, pełen energii do życia, jak każdy młody człowiek w tym wieku. Przed maturą zawarłem z nią rozejm, że jeżeli pozwoli mi zrobić prawo jazdy kategorii B, to będę wszędzie ją zabierał ze sobą i tak się też stało. Od 18. lat posiadam uprawnienia do kierowania samochodem, a niepełnosprawność zajmuje miejsce z przodu obok kierowcy.

Kolejnym ważnym etapem było pójście na studia i ich ukończenie. Po drodze musiałem przełamać bardzo dużo barier architektonicznych, komunikacyjnych, ale najbardziej tych w mojej głowie musiałem zmienić myślenie i ukazać zarówno samemu sobie jak i innym, że moja niepełnosprawność to nie koniec świata.

Dużo osób ma znacznie gorzej ode mnie, ja potrafię się ubrać, umyć, pisać, czytać i mówić. W międzyczasie chciałem pokonać jaką-

nie, z którym zmagam się od siódmego roku życia. Walka z nim nie polegała na użyciu siły fizycznej, ale na ciężkich i kosztownych ćwiczeniach. Przegrałem tę walkę, lecz nauczyło mnie to, że pomimo wszystko nie można się w życiu poddawać, załamać, ale trzeba iść naprzód.

Pracę zawodową, to już ona (choroba) dla mnie wybierała, by nie była za ciężka. Towarzyszyła mi każdego dnia przez długie lata. A po jej zakończeniu jednak stała się moją kanwą do tworzenia artykułów. Moja niepełnosprawność dużo mi zabrała w życiu, ale jeszcze więcej mi dała. Otworzyła mi oczy na życie i, mam wrażenie, ustrzegła, przed zrobieniem rzeczy, których bym zapewne żałował do końca swojego życia.

Nie wiem, jakby wyglądało moje życie bez niepełnosprawności? Czy miałbym dobrze płatną pracę? Czy byłbym szczęśliwy? Nie wiem, ale jedno wiem na pewno, że moja niepełnosprawność to niesamowita lekcja pokory i pokonywania swoich słabości każdego dnia. Ukazywanie pozytywnych stron dysfunkcji mojego organizmu daje mi niesamowitą radość i energię do działania i tworzenia w formie różnego rodzaju opowiadań.

Krystian Cholewa

Gdy na świat przychodzi dziecko

„Irytowanie się na moją niesprawność byłoby stratą czasu.

Trzeba iść ze swym życiem do przodu...”

- Stephen Hawking

Kiedy na świat przychodzi dziecko, wszyscy oczekują, że będzie piękne, mądre, zdobędzie wszystko to, czego pragną dla niego rodzice. Ale życie często pisze swoje scenariusze, na które niestety nie mamy żadnego wpływu. Radość z posiadania dziecka przeradza się w żal, może w bunt, a zarazem w strach i troskę o to, co dalej. Nie wiem, co przeżywali rodzice, kiedy dowiedzieli się o mojej niepełnosprawności, ale zaczęło się życie i trzeba było przyjąć na siebie wszystkie wyzwania. Ponieważ badanie USG wykazało zmiany płodau (czyli dzielnej Pauli) rodzice przygotowani byli na przyjęcie niepełnosprawnego dziecka.

Zacząłem się więc od rozmów, jak przewartościować swoje dotychczasowe życie, aby pogodzić pracę zawodową z opieką nad dzieckiem, które będzie tej opieki potrzebowało do końca życia.

I na świat przychodzi Paula, która jeszcze nie wie, co zgotował jej los. Pierwszy okres życia to szpitale i walka o to, aby jak najszybciej usprawnić dziewczynkę i dać jej szansę na godziwe, samodzielne życie.

Przez pierwsze lata swojego życia nie odczuwałam swojej „inności”. Wszystkie spojrzenia ludzi na moją niepełnosprawność jakoś mnie nie dotykały i nie obchodziły. Mojej niesprawności nie da się ukryć pod żadną sukienką, jestem jakby wystawiona na widok publiczny na wózku i bez nóg, to dostrzeże każdy, kto mnie mija. Jednak moi rodzice nie ukrywali niesprawnego dziecka przed wzrokiem innych, pokazywali mi świat i uczyli samodzielności w rzeczach, które były w zasięgu moich możliwości. Czułam się bezpieczna i kochana.

Moje pozytywne nastawienie do życia sprawia, że nie mam problemów z nawiązywaniem znajomości. Ostatnio usłyszałam, że mam

w sobie magnetyzm, który przyciąga do mnie ludzi. Myślę, że właśnie tak jest, bo nigdy nie narzekam na brak towarzystwa, a moja niepełnosprawność nie spotyka się z dyskryminacją.

Zdałam sobie sprawę z mojej „inności”, bo przecież taki moment musiał nadejść, był to przełom szkoły podstawowej i gimnazjum. Nawet nie wiem, jak nazwać to uczucie... zazdrość, smutek, żal do losu. To pojawiło się na chwilę, żeby zburzyć mój spokój i sprawić, że zmieniałam swój sposób myślenia. Bo jeśli nie mogę czegoś zmienić, to muszę to przyjąć i nauczyć się z tym żyć.

Na wstępie mojej pracy zacytowałam słowa słynnego uczonego Stephana Hawkinga, który chorował na stwardnienie rozsiane boczne i był głęboko niesprawny fizycznie:

„Irytowanie się na moją niesprawnością byłoby stratą czasu.

Trzeba iść ze swym życiem do przodu...”

Skoro mam przyjaciół, swoje pasje i marzenia, to czym jest wózek, żeby mnie ograniczać? Jestem wdzięczna rodzicom, że pozwolili mi na samodzielność w rzeczach, które mi na nią pozwalają. Na pewno nieraz bliscy przeżywają traumę, gdy śmigam sama przez ulice mojego miasta, gdzie są bariery, wysokie krawężniki, duży ruch samochodów. Mam wtedy poczucie prawdziwej wolności, pełnej swobody wyboru drogi, którą mam pokonać. Wolność - to jest bardzo ważne w moim życiu – wydostać się z domu, spotykać przyjaciół, spełniać marzenia.

Moje serce otwarte jest na potrzeby drugiego człowieka. To nic, że sama potrzebuję wsparcia, ale przecież też mogę pomagać - po to jest wolontariat, aby znaleźć taką opcję, która pozwoli mi na dotarcie do innych ludzi. Umożliwiają mi to grupy wsparcia – organizacje, które często korzystają z mojej pomocy. Roznoszenie ulotek, częstowanie dzieci słodyczkami podczas akcji, rozmowy, lepienie z gliny, zawieranie przyjaźni, muzyka, która mnie relaksuje – to wszystko mnie nakręca i sprawia, że z radością wstaję każdego dnia, bo wiem, że nie będzie pusty i nudny.

Przeżyłam kilka wspaniałych wydarzeń w moim życiu, podczas których bez skrupowania mogłam pokazać swoją niesprawność

i wykrzyzczyć – „mam swoje ograniczenia, ale jestem jedną z was i tak samo jak wy kocham życie”.

Happening z udziałem szkół z Polski i Ukrainy pod hasłem „Drugi człowiek moim oknem na świat” uzmysłowił mi, że potrafię rozmawiać także w innym języku, więc następna bariera, tym razem językowa, nie jest dla mnie problemem.

Wydarzeniem, które poruszyło moje serce, była akcja „Piękni niepełnosprawni”, podczas której z fotografem i stylistką szukaliśmy piękna w naszych często poranionych ciałach i duszach, aby z szarego kaczątką przeobrazić się w pięknego łabędzia. Wystawa obrazów była momentem, kiedy mogliśmy spojrzeć na siebie z innej perspektywy – dostrzec to, czego nie widzimy na co dzień, a co uchwycił aparat fotograficzny.

Kocham takie inicjatywy, bo dzięki temu mam poczucie, że jestem potrzebna, jestem dla kogoś ważna, mam swoje miejsce na mapie naszego miasta i mogę realizować się w różnych dziedzinach życia.

Nie wybiegam myślami daleko w przyszłość, nie myślę o tym, co może się wydarzyć, kiedy zabraknie rodziców, bo to nie jest jeszcze ten czas. Mam świadomość, że to trudny temat, bo chodzi w nim o moje „JA”, moje dalsze życie, opiekę, samodzielność. Myślę o sprawach tu i teraz, bo chcę ukraść z życia najwięcej ile się da – wykształcenie, rozwijanie swoich umiejętności, zawieranie przyjaźni, spełnianie marzeń, może po drodze miłość. To wszystko, o czym marzy każda kobieta, w moim przypadku nie zwiewna kiecka i szpilki, ale dobra duchowe i życzliwość.

Oczywiście są też bariery – niektórych po prostu nie da się obejść w żaden sposób, ale na to nie mamy wpływu mimo wielu starań. Brak pracy dla osób na wózku, popsuta winda, wysokie krawężniki, a na drugiej szali wola życia, przyjaźnie, życzliwość. Dlatego nie będę irytować się na moją niesprawność, bo to strata czasu, więc pójdę ze swym życiem do przodu.

Paula Guzowska

Pokażę ci swój świat



W małym domku i pięknym ogrodzie, pełnym soczystej zieleni i kolorowych kwiatów mieszkała sobie z rodzicami dziewczynka o imieniu Eliza. Eliza marzyła o tym, żeby w przyszłości zostać piosenkarką. Lecz nie do końca wierzyła w to, że jej marzenie się kiedyś spełni, bo urodziła się niepełnosprawna. Myślała, że niewiele może w życiu zrobić i osiągnąć. Z tego powodu była bardzo smutna i przygnębiona. Rodzice ją pocieszali i mówili jej, że jeszcze nadejdzie dla niej szczęśliwy moment i zostanie w swoim życiu kimś. Ona uśmiechała się do rodziców i przytulała się do nich. Dalej nie mogła przestać myśleć o śpiewaniu.

Kiedyś, po powrocie ze szkoły, zmęczona intensywnym planem zajęć, położyła się do łóżka, żeby odpocząć i zasnąć. Gdy tak spała, jej marzenie wróciło, tym razem we śnie. Ale nadal była niedowiarkiem i wątpiła nawet w sen. Jej sen był jednak tak rzeczywisty, że mimo wszystko pokazał Elizie, jak można założyć zespół muzyczny oraz koncertować po całym świecie razem z przyjaciółmi. Brać udział wspólnie w próbach muzycznych oraz występach i w konkursach wokalnych. Otrzymywać gratulacje, nagrody oraz kwiaty. Wiedziała, że na przyjaciół zawsze można liczyć. I już nie przeszkadzało jej nawet to, że porusza się na wózku inwalidzkim. Po tym śnie więcej nie myślała już o swojej niepełnosprawności. Teraz wiedziała, że osiągnie w życiu wszystko, bo będzie dążyła do celu i nigdy się nie podda. Właśnie tak wyobrażała sobie swój świat, będąc osobą niepełnosprawną, poruszającą się na wózku. Rodzice będą z niej bardzo dumni.

Historia Elizy to kawałek moich życiowych marzeń, bo od dziecka interesuje mnie śpiew. Gdy wychowywałam się u swojej babci, zawsze prosiłam ją o nauczenie mnie i zaśpiewanie dla mnie jakieś nowej piosenki na dobranoc. Jak dorastałam, w miarę upływu lat, moje życie się zmieniało. A plany o śpiewaniu stawały się bardziej realne. Mówię tak, bo miałam możliwość nagrać piosenkę na płytę z zaprzyjaźnionym zespołem do projektu dla osób z niepełnosprawnością. Było to w profesjonalnym studiu nagrań, śpiewałam na imprezach okolicznościowych w Warsztacie Terapii Zajęciowej w Chodzieży. Do tej placówki uczęszczam na zajęcia. Mimo że jestem osobą niepełnosprawną i poruszam się na wózku, tak jak bohaterka mojego opowiadania, wiem, że w życiu warto spełniać swoje marzenia i wierzyć, że wszystko się uda, jeśli człowiek bardzo czegoś chce i pragnie.

Joanna Kienic

Moja pasja



W wieku 7 lat zaczęłam się interesować robótkami ręcznymi, zaczęłam próbować robić na drutach, na początku mi jeszcze nie wychodziło. W tym czasie poznawałam mamy maszynę do szycia. I zaczęłam kręcić kółkiem. Ale nie poddawałam się. Babcia nauczyła mnie robić na szydełku łańcuszek. Spodobało mi się i do dzisiaj bardzo lubię szydełkować np.: poduszki, sukienki dla lalek, serwetki, lampiony, ubranko na słoik. Później zaczęłam też wyszywać prostym ściegiem: poduszki, haftem richelieu wyszywałam na tamborku serwetki, bieźniki. Jak mieszkałam w internacie, w czasie wolnym lubiłam wyszywać serwetki.

Jak przyszłam do Warsztatu Terapii Zajęciowej w Chodzieży w 2004 roku, najbardziej spodobała mi się pracownia rękodzielnicza. Na początku przy robótkach drżały mi ręce, ale później doszłam do wprawy, zaczęłam interesować się też innymi robótkami i zaczęłam próbować je robić np.: frywolitki na igle i czółenkiem. Najbardziej lubię szyć na maszynie krawieckiej - poduszki, sukienki dla lalek, fartuchy kuchenne, maskotki, obrusy i inne rzeczy. A na maszynie krawieckiej nauczyła nas pracować pani Marzena. Na początku mieliśmy zajęcia i zapoznawaliśmy się z maszyną do szycia. Marzenie moje się spełniło, bo chciałam się nauczyć szyć na maszynie. Jak chodziłam do przedszkola, lubiłam też rysować, a w szkole podstawowej lubiłam przedmiot plastykę.

Jak przyszłam do Warsztatu, poznałam też pracownię ceramiczną. W tej pracowni poznałam masę glinianą, z której można rzeźbić

zwierzątka, aniołki, miseczki i inne rzeczy. Później lepiłam już trudniejsze postacie z gliny, z bajek animowanych. Tak mi się spodobało lepienie w glinie, że trudno i ciężko było mnie od tej pracy oderwać. Najgorsze, że wpadłam w gliniany nałóg. Lepienie w glinie mnie wycisza i uspakaja, dzięki temu usprawniło mi rękę. Teraz w glinie lepię anioły i lubię też wymyślać postawy aniołów: nosy, twarze i fryzury. Sprawia mi to dużą radość i czuję, że się rozwijam. Czasami jak mi coś nie wyjdzie, to potrafię przeżywać i nie mogę wtedy spać. Wtedy muszę zrobić tę rzecz na nowo, ale jak zacznę lepić anioła z gliny, to wychodzi mi coraz ładniejszy. Po prostu staram się, żeby wychodziły coraz lepiej. Tworzenie pięknych rzeczy z różnych materiałów to moja największa pasja, która tworzy cały mój świat.

Jolanta Kowal

Świat muzyki i fantazy



Mój świat jest muzycznym światem. Siedzę nad wodą, to wtedy czuję muzykę w moim wnętrzu. Każda uderzająca fala o brzeg wydaje inny dźwięk, tworząc za każdym razem inną melodię. Siedzę w domu i nieraz gram sobie na sprzęcie DJ-skim, to czuję radość w moim wnętrzu, która uwalnia moje myśli i wyobraźnię. Bardzo lubię klubową muzykę.

Mój świat jest także fantastyczny. Czytam książki, oglądam filmy i gram w gry komputerowe oraz na konsoli. Grając, wyobrażam sobie postacie i świat fantastyczny, wyróżniający się od rzeczywistości. Przenoszę się do krain magii i sztuczek tak różnych, jak płatki śniegu.

Moje światy współgrają, potrafią stworzyć niezapomniane wrażenia.

Maciej Wyszomirski

Mój świat jest fajny



Spróbowałem gry na afrykańskich bębnach. Było to dla mnie łatwe, dało dużo energii i siły do pokonywania trudności. Cieszę się, że poznałem ciekawych ludzi i mogłem z nimi spędzać czas. Dużym przeżyciem było też granie z nimi na scenie przed publicznością.

Spróbowałem także nurkowania. Nie bałem się zanurzyć w wodzie. Musiałem założyć butlę z tlenem, specjalny kombinezon i buty. Nurkowanie było przyjemne. Pod wodą widziałem ryby, ale nie mogłem je głaskać, o czym wcześniej nie wiedziałem. Nurkowanie dało mi dużo relaksu i możliwość pływania pod wodą. Spróbowałem też malowania muralu. Było to nad jeziorem. Podobało mi się jak nanosiliśmy wzory na ścianę i doklejałiśmy elementy ceramiczne. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Nasz gotowy mural mogą podziwiać przechodzący ludzie i na pewno daje im to satysfakcję. Jak tam przechodzę, to też go podziwiam i wracają wspomnienia. Można przy nim zrobić sobie fajne zdjęcia na pamiątkę. Spróbowałem także spływu kajakowego. Płynęliśmy rzeką. Były po drodze małe trudności - zwalone drzewa i kamienie, które trzeba było ominąć. Musiałem wiosłować. Do tego trzeba mieć silne ręce, a ja mam silne ręce, bo dużo ćwiczę. Nigdy wcześniej nie siedziałem w kajaku. Było to duże przeżycie, ale się nie bałem. Podziwiałem piękne krajobrazy i przepłynąłem jezioro. Dało mi to dużo energii.

Cieszę się, że chodzę na zajęcia do Warsztatu Terapii Zajęciowej. Mogę się tu bardziej rozwijać i uczyć nowych rzeczy w pracowniach. Dzięki temu nie siedzę w domu. Bardzo lubię jeździć na wycieczki, bo mogę dużo zwiedzać, robić zdjęcia i bawić się.

Jestem odważny, pokonuję trudności - dzięki temu mój świat jest ciekawy i mogę go poznawać. Wszystko chciałbym dalej realizować. Marzę, by wzbić się w powietrze i spróbować lotu małym samolotem... kiedyś.

Piotr Maćkowiak

To co mam...



*To co mam, to radość najpiękniejszych lat,
to co mam, to serce które jeszcze
na wszystko stać,
to co mam, to młodość której nie potrafię kryć
to wiara że naprawdę umiem żyć.....*

Słowa z piosenki Anny Jantar stały się dla mnie inspiracją do wspomnień i przemyśleń o tym, kim mogłabym być dzisiaj, gdybym na starcie swojego życia nie spotkała choroby. Zupełnie nie przeszkadza mi to, że jestem kobietą „po przejściach”, nie noszę szpilek czy zwiewnych sukienek. Życie w niepełnosprawności wcale nie musi być smutną walką z barierami tego świata. Zaprawione w boju, odporne na ludzkie spojrzenia i języki, „dziecko szpitala” nigdy nie patrzyło na siebie jak na osobę z niepełnosprawnością. Ponieważ moje ciało i mój umysł nigdy nie mogły się ze sobą dogadać, wołałam słuchać głowy, bo uważałam, że może więcej niż reszta ciała. Z perspektywy czasu widzę, że wyszło mi to na dobre, bo tym sposobem osiągnęłam więcej niż mogłabym się spodziewać.

Żeby powiedzieć coś o sobie, muszę wrócić do lat pięćdziesiątych minionego stulecia, kiedy to w krótkim czasie, w wyniku epidemii polio, pojawiła się cała armia niepełnosprawnych dzieci. Część z nich zmarła, reszta tak jak ja, nosi brzemień choroby do końca życia. Samotni podczas wielomiesięcznych pobytów na oddziałach szpitalnych, z objawami choroby sierocej, uczyliśmy się życia poza murami szpitala. Tak naprawdę nikt nie umiał nam powiedzieć, jak długo będą utrzymywały się objawy choroby, czy będziemy w stanie normalnie żyć, uczyć się, pracować, założyć rodzinę, rodzić dzieci.

I na przekór wszystkiemu i wszystkim, zupełnie nie wiem, jak to się stało, że w wieku 16. lat spotkałam na swojej drodze miłość mojego życia, z którą jestem od 48 lat, w tym 40 lat po ślubie. Idąc tropem cytatu z piosenki Anny Jantar, kiedy sięgam pamięcią wstecz, odczuwam wielką radość z przeżytych lat przy boku osoby, która patrzy na mnie tak samo jak blisko pół wieku temu, która daje mi poczucie bezpieczeństwa, przy której spełniam się jako kobieta, matka i żona.

Moim marzeniem była weterynaria, jednak stan zdrowia nie pozwolił mi na taki wybór, ale gdybym mogła zrobić coś dla siebie teraz, zdecydowałabym się na psychologię, bo moje serce otwarte jest na potrzeby innych osób, zwłaszcza starszych, zagubionych w życiu, samotnych. Sądzę, że to odbicie doświadczeń z dzieciństwa, o których myślę, że wyparłam je z pamięci, a tak naprawdę wracają do mnie wraz z upływem lat. To również doświadczenie choroby rodziców, głównie mamy, która nauczyła mnie jak być silną i się nie poddawać.

Niestety, jestem słaba fizycznie, żyję z bólem od wielu lat, wstaję z bólem, i kładę się spać z bólem, jest przy mnie od zawsze, więc przestałam się nim przejmować. Mam za to poczucie wewnętrznej siły, dzięki której nie ustaję w tym, co sobie wytyczam. To mnie nakręca, podsuwa pomysły, daje narzędzia do realizacji planów, przyciąga do mnie wielu pozytywnych ludzi.

To jest to co kocham... efekty pracy, radość z załatwionych spraw, uśmiechnięte twarze wokół mnie.

Nie umiem płakać, jestem twarda, bo tak mnie nauczyło życie, ale umiem cieszyć się każdym dniem, każdym zadowolonym pacjentem, każdym drobiazgiem, który dostaje, każdym dobrym słowem.

Oczywiście jestem szalonym społecznikiem, który zapomina o domu, rodzinie, zakupach i obiedzie. Stowarzyszenie nadało sens mojemu życiu, potrzebowałam pół wieku, żeby zrozumieć, do czego tak naprawdę jestem stworzona. To dzięki temu czuję się młodo, co dzień wstaję z łóżka zmotywowana do pracy, za którą tak naprawdę nie dostaję żadnego wynagrodzenia.

Incydent w moim życiu, kiedy po 12 latach życia z endoprotezą trafiłam do szpitala na kolejny zabieg, i na pewien czas musiałam wyłączyć się z pracy społecznej, pokazał mi, czym tak naprawdę żyję i co ma dla mnie ogromną wartość. Szpitalne łóżko stało się dla mnie centrum dowodzenia stowarzyszeniem, bo przecież były projekty, byli pacjenci, którzy na mnie czekali. Ból fizyczny można pokonać lekiem, bólu duszy nie da się ukoić żadną tabletką. Całą sobą tęskniłam za salą, za ludźmi, którzy często o wiele lat starsi ode mnie nazywają mnie „bioderkową mamą”. To mnie zawsze wzrusza, bo nie mam już mamy i chętnie sama nazwałabym kogoś mamą.

Wzrusza mnie też bezradność starszych ludzi, ich zagubienie w pędzącym do przodu świecie, ludzi odczuwających brak zainteresowania ze strony bliskich. Oddają się w ręce pierwszemu, kto okaże im trochę serca i zainteresowania, dlatego tak łatwo ich zranić i oszukać. W każdej starszej kobiecie widzę moją mamę, w starszym mężczyźnie mojego ojca, dlatego łatwo się do nich przywiązuję, a ich zmartwienia stają się moimi zmartwieniami.

Moją największą wadą jest naiwność. Staram się żyć i działać tak, żeby nikogo świadomie nie skrzywdzić. Ufam ludziom, co też niejednokrotnie obracało się przeciwko mnie. I mimo iż wiem, że jestem oszukiwana, nie potrafię powiedzieć STOP, brakuje mi asertywności, i to jest to, nad czym powinnam bardzo szczerze popracować.

Od lat jestem chodzieżanką, kocham moje miasto, kocham ludzi, czuję się tu bezpiecznie, bo mogę spokojnie realizować swoje plany. Nie wykluczam się z życia i nie czuję się wykluczona, mam swoje miejsce w chodzieskiej społeczności i idąc dalej śladem cytatu z piosenki Anny Jantar - umiem żyć.

I kocham, pragnę, tracę tak, jakby się chwilą stawał rok, jak gdyby świat wymykał mi się z rąk....

Honorata Pilarczyk

Wystarczy chcieć

*„Niczego w życiu nie należy się bać,
należy to tylko zrozumieć”
Maria Skłodowska – Curie*



Przycupnij, zapraszam Cię do mojego świata, ale zapamiętaj – nieczęsto można przy mnie posiedzieć.

Jestem Ewa, mieszkam w Szwajcarii, Chodzieskiej Szwajcarii, wśród jezior i lasów. Jestem żoną, matką, teściową, babcią, przyjaciółką, koleżanką, studentką ...

Od dziewięciu lat jestem też szczęśliwą emerytką. Dobry to dla mnie czas, bo nic nie muszę – a jedynie mogę. Niedawno obchodziłam 48 rocznicę ślubu – razem na dobre i na złe. Nie do wiary, jak to szybko przeleciało. Mam dwójkę dorosłych dzieci i piątkę wspaniałych wnuków. Moje wnuki kocham. Kocham nad życie. Przekazuję im szacunek do tradycji, to ważne, żeby ją znać i zrozumieć.

Teraz żyję jeszcze radośniej i aktywniej. Tak – bycie emerytką, to przecież przywilej, a nie kara i ja staram się z tego przywileju korzystać. Przecież wystarczy chcieć!

Nie zawsze jednak było to takie oczywiste i dużo wysiłku kosztowało mnie, aby przegonić czarne chmury, ale przecież kto – jeśli nie my sami – jesteśmy w stanie to zrobić. Moje przejście na emeryturę zbiegło się niemal z tym, że zostałam nagle emerytką z niepełnosprawnościami. W tamtym czasie bowiem miałam dwie operacje kolan. Najpierw musiałam zaprzyjaźnić się z jedną endoprotezą, a półtora roku później – z drugą! Leżąc dość długo w domu i przechodząc liczne zabiegi rehabilitacyjne, miałam czas na przemyślenia. Nie uległam pesymistycznym myślom i bólowi – postanowiłam to pokonać. Ja- Ewa!

Nikt przecież za mnie tego nie zrobi! I taka właśnie jest moja dewiza – dewiza niepełnosprawnej emerytki, która chce jeszcze wiele przeżyć i swoim nastawieniem zachęcać do życia innych.

Co mi to daje? Uważam, że bardzo wiele. Przede wszystkim – wiem, że żyję! Mam świadomość, że moje życie jeszcze się nie kończy. Poznają ludzi i spędzam z nimi czas w różny sposób. Uczymy się od siebie nawzajem.

Mam cel i motywację wstawać każdego dnia. Uśmiecham się do ludzi i wzruszam się, gdy widzę starsze osoby, które idą, trzymając się za ręce. Wzruszam się też na widok małych dzieci i bezdomnych zwierząt.

Lubię obserwować przyrodę, lubię spacerować. Uwielbiam kwiaty – moje ulubione, to stokrotki, bratki, kaczeńce, bez i czerwone róże. Od pięciu lat mam wiernego, merdającego radośnie ogonkiem przyjaciela – Sabunię. Dom bez zwierząt, to dla mnie pusty dom. Jestem zodiakalną rybą. Szum morza, pływanie i długie spacerowanie brzegiem morza, to coś, co mnie relaksuje i wycisza.

Lubię podróże te dalekie i te bliskie. Gdybym była zmuszona wyprowadzić się z mojej kochanej Chodzieży – zamieszkałabym w Barcelonie, Lizbonie albo Pradze, uwielbiam te miasta. Pamiętam kolory, zapachy i obrazy, niczym kolekcjoner pocztówek. Chętnie te miejsca odwiedziłabym jeszcze raz.

Największą moją pasją jest gotowanie. Uwielbiam w kuchni eksperymentować, rozpieszczać smakami najbliższych i przyjaciół. Moim najpiękniejszym zapachem jest zapach wyciągniętego prosto z pieca chleba. Zapach zebranych prosto z drzewa jabłek i gruszek.

Ciasto, którego nigdy nie odmówię, to drożdżowe ze śliwką i chrupiącą kruszonką. Uwielbiam czekoladowe tarty mojej przyjaciółki Małgosi. To czysta poezja dla moich zmysłów.

Na wszystkie smutki gotuję rosół, taki treściwy, z mieszanego mięsa i oczywiście z ręcznie robionym makaronem w duecie. Pierogi też chyba wychodzą mi smaczne, bo zawsze znikają bardzo szybko.

Lubię mój dom – czuję się w nim dobrze i bezpiecznie.

Największym nieszczęściem byłyby dla mnie beczynność, dlatego jestem bardzo aktywnie zaangażowana w życie naszego miasta. Od 7 lat jestem studentką Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Śpiewam w zespole wokalnym „Uniwerek”. Jestem członkinią Koła Gospodyń Miejskich oraz członkiem prezydium Chodzieskiej Rady Seniorów.

Od 30 lat, nieprzerwanie, jestem wielką fanką jazzu i nie opuściłam żadnego z cudownych koncertów organizowanych corocznie w ramach „Warsztatów Jazzowych”. Już czekam na lipiec i moją muzykę, zwłaszcza, że w tym roku spełni się moje marzenie, bo jednym z wykonawców będzie moja najstarsza wnuczka, Alisa. Będę dumna i szczęśliwa widząc ją śpiewającą na deskach Amfiteatru.

Inne z moich marzeń już się spełniło. Całkiem niedawno polecałam z grupą przyjaciół do Egiptu i przeżyłam wielką przygodę życia. Ten czas, to mnóstwo przełamanych własnych barier i ograniczeń. Kolejny raz udowodniłam sobie, że potrafię więcej. Odkrywałam podwodny świat – nurkując z ciężkim sprzętem w morskiej głębinie i nurkowałam niczym lekki motyl w błękitnie, rozkoszując się podwodnym światem. Nigdy nie zapomnę tych wielu emocji, jakie mi towarzyszyły i sprawiały, że bariery nie istniały.

Uwielbiam soboty, czekam na nie z niecierpliwością. Czas dla mnie wtedy wolniej płynie, bo pozwalam sobie dłużej pić kawę, wychodzę na dłuższy spacer lub czytam w domowym zaciszu książkę.

Stresuje mnie pośpiech, chamstwo, niepunktualność.

Mój sprawdzony sposób na chandrę to dobra muzyka, ciekawa książka, lampka różowego wina, a nade wszystko – święty spokój.

Gdy rano wstaję z łóżka, patrzę w lustro i mówię do siebie z ciekawością – „oj życie, życie - co TY dzisiaj dla mnie masz?”

Moje największe marzenie to zdrowie i szczęście dla mojej rodziny. Fajnie by było, abym zobaczyła i poznała jeszcze prawnuki! Oj tak, to byłoby cudowne.

A poza tym – chętnie zobaczyłabym Bieszczady, nauczyła stepowania i poprowadziła warsztaty kulinarne z Ewą Wachowicz! Życie jest cudowne i zaskakujące. Zobaczymy, co mi przyniesie w kolejnych latach. Jestem wdzięczna za zdrowie, za całą moją rodzinę, za moich przyjaciół i za wszystkie przeżycia, które były mi dane, zwłaszcza teraz – w ostatnich dziesięciu latach.

Tak – jestem szczęściarą! Kocham życie! I jestem dumna z Ewy – EWY Emerytki z niepełnosprawnościami.

Ewa Piotrowska

Pokażę Ci swój świat

Powiedziałem dzisiaj do żony, chodź pokażę Ci swój świat... chcę abyś to przelała na papier, bo moja wada wzroku nie pozwala mi zrobić tego samemu....

Mój świat. Jak to cudownie brzmi, kolorowo, radośnie, pracowicie, czasami smutno, ale żyję. Mam 70 lat i swój świat dzielę na dwie części. Pierwsza to świat, w którym byłem osobą sprawną fizycznie, czynną zawodowo... drugi to czas mojej choroby i pogodzenia się z niepełnosprawnością. Jestem osobą niepełnosprawną w stopniu znacznym. O tym pierwszym mógłbym pisać wiele, ale najważniejsze jest to, że go nie zmarnowałem.

Nigdy nie bałem się pracy, mam kochaną rodzinę, różne wspomnienia i to cieszy mnie bardzo. Trudniej jest mówić o tym świecie, którego pewnie jak każdy niepełnosprawny, nie chciałem... ale stało się. W wieku 50 lat zacząłem mieć problemy ze zdrowiem. Chorowałem na serce, później doszły problemy z kręgosłupem, ze stawami. Mam endoprotezę stawu kolanowego, czekam w kolejce na drugą, w drugiej nodze. Ale żeby nie było za dobrze dopadła mnie choroba nowotworowa... walczę z nią już drugi rok, radioterapia radykalna, terapia hormonalna... i moje życie kręci się wokół wizyt u lekarzy i w szpitalach. Do tego problemy z oczami. Jedna operacja, druga.... ale cóż, daję radę.

Mam obok siebie żonę, dzieci, którzy dbają o mnie. Mobilizują do walki i różnego jeszcze działania. Pilnują, abym nie siedział w fotelu. Malują mi ten świat, jak w tej piosence na żółto i na niebiesko. Jak mogę działać. Czasami się buntuję. Nie chce mi się, ale Oni mnie mobilizują. Złoszczę się na kule, które mi towarzyszą w dniu codziennym. Niektórzy się śmieją, że sobie dwie „laski”

przygruchałem... no i tak z tymi „laskami”, z żoną i dziećmi podróżuję. Spędzam czas z wnukami. Mam ich czworo. Za chwilę urodzi się jeszcze jeden. Czekać z niecierpliwością... to będzie wnuk.

Uwielbiam spędzać z nimi czas. Lubimy grać w różne gry planszowe, karty... oglądamy filmy rodzinne. Lubimy te o zwierzętach. Psach, koniach. Przy okazji mogę im opowiedzieć o swoich czworonożnych przyjaciołach. O koniu, którym się kiedyś opiekowałem. To jest moje największe bogactwo. Moje dzieci, żona, wnuki.... tak sobie myślę, wygrałem milion, chyba jestem milionerem.

W tym moim świecie osób niepełnosprawnych spotkałem na swojej drodze wielu fantastycznych ludzi. Od nich również czerpię siłę. Mam drugą rodzinę, Rodzinę Bioderkową. Cieszę się, że trafiłem do tego Stowarzyszenia, że mam jeszcze jedną matkę Honoratkę i dużo przybranych sióstr. Tam to się dzieje... rehabilitacja, zabawa, wycieczki, podróże, spotkania... jak ja nie mogę brać udziału to deleguję tam żonę, która też świetnie czuje się w tej Bioderkowej Rodzinie.

Tak sobie myślę, żeby było tak jak jest.... jeszcze dam radę... wiem, muszę się postarać... postaram się. Bo przecież świat jest piękny, a że dziwny, jakby to zaśpiewał Niemen, to inna sprawa. Myślę, że dużo trzeba, aby ten dziwny świat zmienić, ale.... ludzi dobrej woli jest więcej i ja cieszę się, że przebywam z takimi ludźmi.

Regan

To daje mi wielką radość

Kiedy przyszłam do Warsztatu Terapii Zajęciowej w Chodzieży, zaczęłam interesować się muzyką. Lubię różnych wykonawców i różne gatunki muzyki np. muzykę klasyczną czy pop. Lubię śpiewać utwory muzyczne piosenkarzy i piosenkarek z dawnych lat. Słucham płyt zagranicznych piosenkarzy np. rockowe, piosenki ludowe, biesiadne. Śpiewanie to przyjemność.



Chciałabym grać na instrumencie muzycznym - na gitarze. Lubię oglądać programy muzyczne z różnymi wykonawcami, ponieważ bardzo ładnie śpiewają i grają na akordeonie i innych instrumentach.

Moim marzeniem jest, żeby pojechać do Poznania do Filharmonii i posłuchać muzyki na żywo. Muzyka i śpiewanie daje mi wielką radość i satysfakcję

Julita Kwiatkowska

JA - Marcin

Pamiętam swój świat, gdy byłem małym chłopcem. Miałem różne hobby i interesowałem się wszystkim, np. moją pasją były gwiazdy i znaki zodiaku, a także bajki o tym. Moje najlepsze filmy, to „Power Rangers” oraz takie związane z dinozaurami. Bardzo lubiłem rysować postacie z tych filmów i bajek. Mam do tego talent – uwielbiam rysować – to moja wielka pasja. Zbierałem dużo naklejek Pokemonów i miałem do tej kolekcji atlas . Miałem pokój kolorowy, a w nim dużo plakatów na ścianie. Największe, to narysowane - z wojowniczymi żółtymi Ninja.



Bujna Wyobraźnia

Poszliśmy daleko, nie wiadomo dokąd, nad Ocean Atlantycki. Sami nie wiedzieliśmy o tym, że dostaliśmy się na piechotę. Spotkaliśmy także ciekawe kształty, nie wiadomo skąd się znalazły na tej Ziemi. Przypominało mi się Drzewo. Miało różnie krzywe, wygięte korzenie. Nie wiadomo jak przybierało różne postacie, od małej do krzywej wierzby, albo do rury, do ludzi z innej epoki.

Zmyślona wyobraźnia

Moja Wyobraźnia będzie składać się z różnych form o dziwnych kształtach i iluzjach. Ja idę, a Ty gdzieś stoisz. Na ulicy jest dziura, a po drodze jest jezioro. Bardzo daleko idziesz, dokąd? Pod górę, co tam jest, nie ma drogi z powrotem. To jest wizja. A spotkasz kogoś z innego świata, może człowieka, albo małpę, która biega po linach i buja się w dżungli. Nie jest to, to samo co kiedyś, coś innego widziałem. Dziwne istoty podobne do takich jak w innym świecie.

Są bardzo długie, dziwnie wyglądają, przypominają okrągłe i bardzo głębokie planety w kosmosie. Tylko we śnie jak ja spałem, to było coś bardzo brzydkiego. Nie da się tego oglądać, tylko da się opisać. To mi się udaje, bo ja jestem artystą różnych dzieł rysunkowych i nie tylko, bo to potrafię najlepiej - dziwne rzeczy, co wpadną do głowy.

Mam taki pomysł - pójdziemy razem w nieznaną pod ziemię. Tam jest dziura, magicznie Drzewo. Spotkałem ładną kobietę. Poszliśmy na długą, nieznaną drogę. Spotkamy na niebie gwiazdy, będziemy oglądać i wspominać dobre dzieje. Będziemy aż do końca życia i śmierci. Będziemy pierwszymi ludźmi, czy to młodymi, czy to starymi, jak było nam pisane. Będziemy wiecznie trwać tak, jak my żyjemy.

Bo ja to jestem najlepszy wymyślnik opowiadań i jeszcze najlepiej to takich, co nie ma na naszym świecie. Mam różne pomysły na pisanie, mam dobry dzień, jestem różnorodnym człowiekiem. Co najlepsze - to ja mam dziwne skojarzenia.

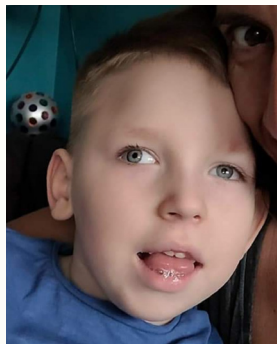
Moje pasje

Od kilku lat rozwijam swój talent rysunkowy i malarski. Rozpocząłem od rysowania zwierząt, obecnie maluje obrazy farbami olejnymi i wodnymi. Wykorzystując tablet graficzny tworzę też grafiki. Interesuję się tworzeniem grafiki, rysowaniem ołówkiem oraz malowaniem obrazów farbą olejną i wodną. Najlepsza jest iluzja i to, co sobie wyobrażę. Miałem nawet swoje wystawy i nagrody, z czego jestem dumny. Ostatnio rysowałem tryptyk ołówkiem na płótnie, a potem go malowałem farbami olejnymi. Spodobało mi się takie malowanie, poszukałem też informacje w Internecie. Cieszę się, że mogę się dalej rozwijać i mam talent, od małego dziecka. Maluję różnymi technikami, farbami wodnymi i olejnymi. Jest to mój pomysł, z mojej wyobraźni.

Marcin Miklejewski

RODZINA jest TAM, gdzie jest MIŁOŚĆ

Styczeń 2016 roku był wyjątkowo zimny, a dla mnie stał się wręcz mroźny, bo przyszedłem wtedy na świat i w tym samym momencie zostałem sam. W dodatku z bagażem „traumatycznych przeżyć płodowych”. Nigdy nie poznałem swojej mamy, a jej ramiona były pewnie zbyt chłodne, aby otulić mnie ciepłem. Może się bała, ale nigdy przecież nie była u lekarzy –



poprosić o pomoc. Nie dała mi żadnej szansy poznania siebie i mnie też widocznie nie chciała poznać. Wtedy zostałem sam. W dodatku w ważnym czasie, kiedy lekarze ratowali moje życie - odkrywając kolejne skutki niechcianej ciąży.

Tak poznałem świat – szpitalne głosy, chłodne ściany, dźwięki urządzeń, zmieniające się głosy lekarzy i personelu, zapachy szpitalnych detergentów... Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że niczego nie mogłem zobaczyć. Mózgowe porażenie dziecięce pozbawiło moje małe życie wielu funkcji, ale jak się niebawem okazało – nie pozbawiło dobrych ludzi wokół i miłości. Ale po kolei.

Minęło 6 tygodni – osoba, którą miałem nazywać „mama” nie wróciła po mnie. Wtedy lekarze oraz dorośli w czarnych togach mogli dopiero szukać dla mnie domu. Nie było to proste, bo małżeństwa, które oczekują na adopcję dziecka – chcieliby synka, który ich rozpozna, który będzie chodził za rączkę na spacerki, a potem biegał z kolegami, który powie „mama” i „tata” i zje podaną przez babcię pierwszą parówkę na widelcu. Ja taki nie jestem.

Po około trzech miesiącach i wielu niepokojących słowach lekarzy, które słyszałem wokół siebie -ustabilizowały się moje parametry i mogłem opuścić szpital. Ale dokąd?! - pomyślałem. Przecież nikt mnie nie chciał! Byłem zaniepokojony, ale mimo tego zazwyczaj nie płakałem. Chyba się bałem, chociaż sam nie wiedziałem czego. I właśnie wtedy poczułem pierwsze, ciepłe przytulenie, inne zapachy i jakieś inne, serdeczne głosy. Mówiły do mnie „Jasiu”. Podobało mi się to.

Jak się niebawem okazało – dwa serdeczne głosy, to siostry zakonne, Siostry Serafitki, które zabrały mnie do swojego DOMU, mówiąc, że jest to i mój DOM. I tak właśnie się tu poczułem, bo DOM ten był pełen ciepła i miłości, i mieszkaly w nim również inne dzieci. Siostry, które mnie tu zabrały są cudowne – jedna z nich, Siostra Cecylia zgodziła się nawet zostać moim prawnym opiekunem i razem z Siostrą Sebastianą zadbały o moją opiekę i zdrowie. Byłem szczęściarzem. Nie byłem już sam, chociaż nadal czułem się czasami samotny. Razem z Siostrami oraz „ciociami” naszego wielkiego domu poznawałem dalej świat i inne dzieci, z którymi „wołaliśmy się” nawzajem na różne sposoby. Jak można wołać na różne sposoby? Można krzykiem, płaczem, jękiem, dzwoneczkiem, pukaniem, światełkiem, kopnięciem i wieloma innymi sposobami, których uczymy się każdego dnia, i które pomagają nam odkrywać nasi wspaniali, oddani opiekunowie, rehabilitanci i pedagodzy. Tak – nasz DOM POMOCY SPOŁECZNEJ, to miejsce dla dzieci z niepełnosprawnościami, a więc miejsce kreatywnych ODKRYWCÓW! Jest tu bardzo miło. Każdy ma swoje piękne, kolorowe miejsce – dostosowane do swoich potrzeb i zaopatrzone we wszystko, co według opiekunów pomaga nam się rozwijać. Czuje się tu, jak w domu. Zresztą innego nie znałem.

Po kilku dniach Siostry powiedziały mi, że będę miał gości. Nie miałem pojęcia, kto mógłby mnie odwiedzić, ale skoro miały to być zaprzyjaźnione z DOMEM i Siostrami osoby – byłem spokojny. Czekałem zaciekawiony, aż nagle poczułem, że jestem w ciepłych, mocnych objęciach! Natychmiast

poczułem się bezpiecznie i to chyba była MIŁOŚĆ. MIŁOŚĆ od pierwszego... przytulenia. Wzajemna miłość – teraz to wiem.

Tak poznałem ciocię Gosię i wujka Piotra, którzy niebawem zostali moimi RODZICAMI CHRZESTNYMI. To był piękny, wiosenny dzień. Kapliczka „domowa”, w której zgromadziły się wszystkie bliskie mi osoby, troszczące się o mnie, mieszkańcy domu oraz JA i trzymający mnie w białej szacie RODZICE CHRZESTNI. Od tej pory stałem się DZIECKIEM BOŻYM, a w prezencie dostałem opiekę i RODZINĘ. Dużą rodzinę, bo ciocia z wujkiem przyjechali razem ze swoimi dziećmi oraz babcią i dziadkiem. Po mszy św. był obiad, biały tort, wspólny spacer i mnóstwo pięknych emocji. Jak w rodzinie.

Niestety piękne chwile przerywały często niepokoje związane z moim zdrowiem. Moje ciało nieustannie było napięte, nóżki i rączki nie chciały słuchać. Czasami trudno było mi połykać jedzenie i nie nadążałem pić, co sprawiało, że mało rosłem i nie przyswajałem leków. Założono mi sondę – to taka rurka wprowadzona przez nos, gardło do brzuszka, przez którą podawano mi płyny, leki i mleczko. Nie było to dla mnie zbyt wygodne i czasami odparzało wewnątrz, ale rosłem, a moje funkcje szło trochę bardziej ustabilizować. To jednak ciągle się zmienia, gdy rosnę. Niebawem znowu byłem w szpitalu z zapaleniem płuc i na zabiegu na refluks. Ale już nigdy sam. Najczęściej czuwała przy mnie ciocia Gosia – przy niej zawsze szybko zdrowiałem i byłem spokojny, a ona dzięki tym wspólnym pobytom potrafi doskonale się mną opiekować, obsługując te wszystkie zakładane mi urzędzenia. Podobnie było co jakiś czas, również wtedy, gdy pojawiły się ataki padaczki, kiedy sondę zamieniono na pega – od wtedy kabelkiem jedzonko dostaje prosto przez otwór w brzuszku do żołądka, czy wtedy, gdy pod skórę brzuszka wszyto mi okrągłe pudełko – nazywane „pompą baklofenową”, która sama podaje mi lek na rozluźnienie mięśni.

Najważniejsze jednak było to, że po kolejnej pieczęcie od pani w czarnej todze mogłem już nie tylko mieć DOM w Poznaniu, ale

i w Chodzieży, gdzie natychmiast spędziłem swoje pierwsze wakacje! Miałem wtedy 6 miesięcy, a zapachy, jakie wtedy zapamiętałem, głosy, drogę samochodem oraz czułość i troskę zostaną ze mną na zawsze.

Kiedy ciocia z wujkiem po mnie przyjeżdża – natychmiast się uśmiecham. Z daleka wiem, że to oni, mimo, że nigdy ich nie zobaczyłem. Zawsze przecież mają ten sam zapach, głos, zawsze tak samo, z miłością przytulają i troszczą o mnie. Remik – nosi mnie, jak starszy brat, gdy jesteśmy na zakupach, a Pati – czyta mi książeczki, jak starsza siostra. Razem spędzamy święta, dmuchamy co roku świece na urodzinowym torcie, pieczemy ciasteczka, odpoczywamy na ogrodzie, czy chodzimy na basen! Tak, uwielbiam wodę, bardzo mnie relaksuje. Cieszę się, gdy dotykam mięciutką, ciepłą sierść kotka, pieska czy alpaka. Uwielbiam, gdy mi się śpiewa i cudownie czuję się latem. Byliśmy nawet razem nad morzem – spałem na kocyku, na plaży, czując stopami ciepły piasek i słysząc spokojny szum fal.

Mam już siedem i pół roku. Moje życie, chociaż nie jest jeszcze zbyt długie – jest pełne przygód i wspaniałych osób. Należą też do nich pedagodzy i rehabilitanci z mojej szkoły. Tak, gdy mieszkam w DOMU w Poznaniu, to oprócz codziennej opieki cioc i fachowej opieki lekarskiej od trzech lat chodzę codziennie do szkoły! Zabrała mnie tu Siostra Sebastiana, żebym mógł uczyć się, jak inne dzieci. Moje pierwsze lata szkolne, to tzw. „wczesne wspomaganie”. Robimy tu mnóstwo rzeczy. Moi nauczyciele są najlepsi na świecie, a do takiej szkoły z pewnością chciałby chodzić każdy z Was! Jeździmy nawet na „zielone szkoły”, gdzie oczywiście zawsze zabieram ciocię Gosię, bo współpraca i dzielenie się spostrzeżeniami nauczycieli i opiekunów jest dla mojego rozwoju bardzo cenne. Dlatego, co roku odbieram wzorowe świadectwo.

Tak właśnie wygląda mój świat. Mimo że nie wszystko jest w nim idealne, a ja pewnie nigdy nie zobaczę go swoimi oczyma i z perspektywy własnych nóg, to wiem, że jest bardzo ciekawy i bogaty. Mam przecież dwa DOMY i dwie RODZINY. Mam MIŁOŚĆ podwójną.

Jaś

Cieszyć się każdym dniem

Kiedy dowiadujesz się, że jesteś w ciąży już od razu wiesz, że musisz chronić siebie i tą małą istotkę, która się w tobie rozwija. Dbasz o siebie bo wiesz, że ... nie myślisz już tylko o sobie. Czekasz te kilka miesięcy na rozwiązanie i zastanawiasz się, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka. Może nadejdzie chwila, w której poznasz płęć dziecka, ale najważniejsze jest, by dziecko urodziło się zdrowe. Na każde badanie chodzisz zaniepokojona tym, co usłyszysz od lekarza, bo martwisz się o skarb, który nosisz pod sercem. W końcu nadchodzi ten cudowny moment i wyczekiwane dziecko przychodzi na świat. Nieważne są chwile bólu, bo zapominasz o wszystkim przez co przesłaś przed chwilą, kiedy widzisz i tulisz już swoje maleństwo w ramionach. Tak bezbronne, delikatne i słabe. Już wiesz, że musisz je chronić od wszystkiego co złe, bo bez ciebie nie da sobie rady. Od tej chwili przestajesz się martwić o siebie, bo istotka, która właśnie się pojawiła, staje się najważniejsza w twoim życiu i przysłoniła cały twój świat. Patrzysz na nią i zastanawiasz się - kim będzie w przyszłości, jakie będzie miała życie i co je czeka, kiedy będzie starsza. Wymyślasz tysiące historii, jakie nadejdą w jej w życiu, jednak omijasz te złe i życzysz swojemu dziecku samych szczęśliwych dni...



Niestety, życie to nie bajka i są dni, które najchętniej wymazalibyśmy z naszej pamięci. W przypadku Julki trwało to trochę dłużej niż kilka dni. Zaczęło się całkiem niewinnie. Ot zwykła dziecięca niestrawność jelitowa. Odwiedzony lekarz by pomógł w chorobie. Niby pomogło, jednak po kilku dniach Julka zaczęła być

nad wyraz spokojna jak na „mojego adehadowca”. Tak na nią mówię, bo wszędzie pełno tej dziewczynki. Zaniepokojona zachowaniem i zgłaszanych dolegliwościami, poszłam do szpitala. Tam niestety nie otrzymałam pomocy. Następnego dnia lekarz rodzinny skierował nas na oddział dziecięcy do szpitala. Kilka dni leżenia na oddziale nie przyniosło poprawy, lecz wręcz przeciwnie, było coraz gorzej. Julka zaczęła mieć problemy z poruszaniem, mową oraz jedzeniem. Lekarze i pielęgniarki zastanawiali się, co może być przyczyną pogarszającego się stanu zdrowia mojego dziecka. Szczegółowe badanie, wykonane dopiero po kilku dniach leżenia w szpitalu, wykazało Zespół Gullian-Barre. Doszło do częściowego paraliżu mięśni dziecka. W pośpiechu zawieziono nas karetką do poznańskiego oddziału neurologicznego dla dzieci.

Byłam przerażona. Wszystko działo się tak szybko. Pielęgniarki i lekarze biegali wokół mojego dziecka, a ja nie wiedziałam o co chodzi, co to za choroba, jaki jest dokładny jej przebieg, jakie skutki zostawia po sobie i czym grozi. Nie miałam odwagi zerknąć do wszechwiedzącego Internetu i dowiedzieć się czegokolwiek, bo bałam się informacji jakie mogę przeczytać. Widok mojego dziecka był dla mnie, jako matki, przerażający. Brak sił, wymieniane co chwilę kroplówki i maszyna podłączona do Julki, która co chwilę dawała znać, że serduszek pracuje za szybko. Do tego trudności z mową i ruchem jej drobnego ciała. Wystraszona, sama i przerażona siedziałam obok łóżka mojej córeczki i zastanawiałam się, co nas tutaj jeszcze czeka i co się stanie z moim skarbem. Czy choroba pozostawi jakieś skutki uboczne? Czy moje dziecko będzie mogło jeszcze kiedyś samodzielnie chodzić? Jak długo tutaj zostaniemy? Diagnoza okazała się trafnie postawiona i zaczęto podawać odpowiednie leki. Ja w końcu zebrałam odwagę zapytać się o szczegóły tego diabelstwa, które postanowiło namieszać w naszym i tak nie prostym już życiu.

Mieliśmy ogromne szczęście, że zdążyliśmy i trafiliśmy na czas do szpitala. Zostało jednak pytanie, na ile cofnie się choroba? Czy pozostawi jakąś niepełnosprawność? A może jednak będzie Julce groził wózek inwalidzki? Całymi dniami patrząc w okno, zastanawiałam się co przyniesie mi najbliższa przyszłość. Bez telewizora, tylko z kontaktem telefonicznym z pozostawioną w domu Rodziną, która martwiła się o zdrowie Julki. Trzeba było mieć siłę, by wspierać dziecko, pocieszać najbliższych i jeszcze dla siebie coś zostawić, bo przecież nie można pokazać Córeczce, że samemu jest się przerażonym, tym co nas spotkało. Julka sama była wystraszona tym wszystkim, bo to był jej pierwszy w życiu kontakt z lekarzami i szpitalem, a tu w dodatku na taką skalę... Staralam się dodawać jej otuchy, choć sama w sumie jej potrzebowałam. Na szczęście nadszedł dzień, gdzie usłyszałam wreszcie, że jest poprawa i choroba powoli się cofa, jednak nadal nie było wiadomo, czy Julka będzie samodzielnie chodzić... Starła się z całych sił, pokazywała, że da radę. Ćwiczyła leżąc na łóżku, aż wreszcie sama mogła zejść ze szpitalnego łóżka i zrobiła tylko kilka kroków, bo jednak ból mięśni nie pozwalał jej na więcej. Ale była nadzieja! Nadzieja, że nóżki będą sprawne. Rączki już też potrafiły same utrzymać przedmioty podstawowego użytku. Widać było powoli, że choroba przegrywa z podawanymi lekami, wytrwałością i uporem Julki!

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy dostaliśmy wypis ze szpitala. Niestety, otrzymaliśmy również skierowanie na rehabilitację do sanatorium. Z jednej strony byłam szczęśliwa, że nadal będziemy walczyć o całkowity powrót do sprawności mojego dziecka, a z drugiej byłam przerażona, bo czekał mnie znów czas rozłąki z moim drugim dzieckiem, synem Mikołajem i na dodatek jeszcze dalej od domu.

Po dwóch tygodniach pobytu w poznańskim szpitalu wróciliśmy do domu. 4 dni na przepakowanie ubrań i wyjechaliliśmy do sanatorium.

Znów obce miejsce, obcy ludzie daleko od miejsca, gdzie człowiek czuje się najbezpieczniej. DOM. No cóż, to było tylko dla dobra mojego najmłodszego dziecka. Nie dam rady? Jak nie dam, jak dam! Przyjechaliśmy. Przywitano nas bardzo serdecznie, pokazano nasz pokój i zostawiono. Oj, jak ja chciałam stamtąd uciec!!! Obco, do najbliższego sklepu przez pole kilkanaście minut. Matko, gdzie my trafiliśmy?! Kiedy najbliżsi odjeżdżali i wracali do domu zostawiając nas tutaj, łzy same leciały ze strachu.

Mieliśmy zostać tu 3 tygodnie. Jak ja tu wytrzymam??? Otrzymaliśmy plan rehabilitacyjny i zaczęliśmy nasz pobyt w tym wstępnym miejscu, jak wówczas o nim myślałam. Szybko jednak okazało się, że nie jest tak źle, jak wyglądało na początku. Obce twarze były bardzo przyjazne, ćwiczenia nie takie straszne, a nawet bardzo przyjemne, bo nawet mi sprawiały frajdę, kiedy włączałam się do zabawy. Julka dzielnie chodziła na swoje ćwiczenia i poddawała się pracy z rehabilitantami. Zamieniłam jej ćwiczenia z masażu wodnych na pływanie w basenie i dopiero zaczęła się przygoda. Chodzenie Julce przynosiło coraz mniej trudności. Dodatkowo została tymczasowo zapisana do miejscowego przedszkola, co było dodatkową atrakcją. Miała zajęcia indywidualne, więc w skupieniu wykonywała zadania zalecone przez panią nauczycielkę. Po zajęciach zwiedzałyśmy sobie w miarę możliwości całe sanatorium, a pobyt tutaj obróciłyśmy w ciekawą przygodę.

Nasza wizyta przedłużyła się z 3 tygodni na 6, a czas spędzany mijał niespodziewanie szybko. Nawiązały się znajomości, po dłuższym czasie mogłyśmy nawet zwiedzać już okolice. Intensywne ćwiczenia i wytrwałość Julki doprowadziły do tego, że całkowicie odzyskała sprawność w nóżkach, ale rączki nadal trzeba gimnastykować. Wreszcie nadszedł czas naszego wyjazdu. I tak jak na początku płakałam, z myślą gdzie ja trafiłam, tak teraz płakałam, że jak ja

będę tęsknić za tym miejscem i ludźmi tu poznanymi. Nasz pobyt w sanatorium obróciłyśmy w ciekawą, pozytywną przygodę i zabawę, która miała pomóc nam odzyskać całkowitą sprawność. Wszystko w zdrowiu Julki wróciło do normalności, pozostało jednak drobne, po tym co mogło ją spotkać w tej chorobie, trzęsienie rączek. Julka miała ogromne szczęście, że tylko tak to się skończyło. Szczęśliwi wróciliśmy do domu, spotykając się wreszcie ze stęsknioną Rodziną.

Dzięki Pani Honoratce trafiliśmy pod skrzydła „Bioderka” wierząc, że dalsza rehabilitacja całkowicie zniweluje skutek choroby. Niestety nie udało się tego pozbyć, ale to jest nic w porównaniu z tym, co mogło spotkać Julkę. To o co zawsze mama boi się najbardziej mając własne dziecko, czyli utrata zdrowia, dotknęło nas, ale ten egzamin zdałyśmy i pokonałyśmy chorobę. Człowiek cieszy się każdym dniem wierząc, że to był ostatni taki egzamin. Choć przecież wiemy, że życie jeszcze niejedną sprawą potrafi nas zaskoczyć i niekoniecznie pozytywnie...

Julia Wasik

Los wystawił mnie na próbę

Każdy z nas w naszym zabieganym życiu nie myśli o chorobach, o tym, że może przytrafić się nam coś złego. Ciężka choroba, nieszczęśliwy wypadek czy inny przypadek, który zmieni nasze życie na zawsze. Zawsze myślimy, że to dotyczy innych, nie nas, przytrafia się innym, ale nie nam... Jednak życie potrafi nas zaskoczyć i podkłada nam wydarzenia, z którymi musimy się zmierzyć. Tak jak u mnie. Życie toczyło się swoim torem:



praca, dom, mąż, córka. Potem pojawił się wnuk i wnuczka, których pokochaliśmy z mężem nad życie. Pomagaliśmy córce w wychowaniu i opiece nad wnukami, gdyż ją życie też postanowiło doświadczyć i sama wychowuje dzieci. Przeszliśmy z mężem na emeryturę i mogliśmy cieszyć się spokojną codziennością i wnukami.

Pewnego dnia i mnie los wystawił na próbę. Od kilku dni źle się czułam. Ciężko mi było wykonywać podstawowe rzeczy i czułam się bardzo zmęczona. Gdy postanowiłam, że pójde do lekarza, niestety udar mnie wyprzedził. Wczesnym rankiem obudziłam się czując, że coś jest nie tak. Było mi słabo i nie mogłam wypowiedzieć żadnego słowa, nie wiedziałam co się ze mną dzieje. Obudziłam męża, pokazałam, że coś jest ze mną nie tak i więcej nie pamiętam. Zemdlałam. Potem było pogotowie, szpital, diagnostyka. Trwało to długo nim zostałam przewieziona do innego szpitala w Pile. Tam okazało się, że to nie tylko udar, ale i tętniak, który był już odpaloną bombą w moim ciele. Szybki transport do poznańskiego szpitala, gdzie zostałam zoperowana i tętniak został zabezpieczony. Powrót do pilskiego szpitala, gdzie miałam dobrą opiekę i po kilku dniach opuściłam jego mury. Wróciłam do ukochanego domu... Lecz już nic nie było tak jak kiedyś. Znalazłam

się w nowym dziwnym i obcym świecie, z którym nigdy nie miałam do czynienia, którego nie znałam. Niby w domu wszystko takie same, jednak ja byłam inna. Miałam ogromne trudności z mową i prawie wcale nie mówiłam. Poruszanie się też było problemem, gdyż miałam paraliż prawostronny i noga i ręka miała ograniczony zakres ruchów. Po upływie około 3 tygodni powoli mowa wracała i moje kończyny były bardziej sprawne. Zostałam skierowana na rehabilitację do sanatorium w Wyrzysku. Tam pracowałam ciężko, by odzyskać sprawność. Czas się dłużył, ale na szczęście nowe znajomości i odwiedziny najbliższych pozwalało znieść trud pracy. Skupialiśmy się nie tylko na ćwiczeniach rehabilitacyjnych. Spacerowaliśmy po okolicy, podziwiając jesienne uroki natury, rozgrywaliśmy konkursy i wspólne gry, które pozwalały na integrację. Poznałam też inne przypadki paraliżu podobne do mojego oraz po różnych operacjach czy wypadkach. Każdy z nas nosił swoją historię, ale wspieraliśmy się wzajemnie, by przetrwać niełatwe dni w sanatorium.

Po powrocie trafiłam pod skrzydła „Bioderka” i regularnie ćwiczę i oddaję się w ręce rehabilitantów. Wiem, że sprawność sprzed udaru nie wróci w stu procentach, ale warto ćwiczyć i walczyć o siebie. Przed chorobą moje życie płynęło naturalnym rytmem, było przyzwyczajenie do zwykłej szarości. Jednak nastąpił dzień, gdzie wszystko się zmieniło. Nikt na takie zmiany nie jest przygotowany i trudno pogodzić się z nowym stanem zdrowia, funkcjonowania i pokonywania zwykłych czynności, które kiedyś były błahostką, a z którymi teraz mam problem. Gdy człowiek jest zdrowy nigdy nie zwraca na to uwagi, lecz gdy ośobiście trzeba się z tym zmierzyć, czasami wydaje się nam to murem nie do pokonania. Uczymy się swojej codzienności i funkcjonowania na nowo. Zwykły mały problem wzrasta do wielkości góry lodowej. Dobrze, że mam wsparcie wśród moich najbliższych. Zawsze mogę liczyć na ich pomoc. Gdy wiesz, że masz kogoś obok, kto jest przy tobie, trochę łatwiej jest w nowej, obcej rzeczywistości, z którą teraz muszę się mierzyć każdego dnia. Cieszę się jednak życiem, że mogę nadal być ze swoją rodziną.

Grażyna Łakomecka

Kropla deszczu

Marika siedziała przy oknie wpatrzona w jedyną kroplę deszczu, spływającą po szybie. Po jej policzku spływała ogromna łza. Kolejny etap w jej życiu zakończył się niepowodzeniem, a myślała, że tym razem uda jej się zostać na dłużej. Jak w kalejdoskopie powróciły obrazy sprzed wielu lat. Pędzący samochód, szpitalne sale, ktoś mówił, że on nie żyje, a ona, no właśnie wielka niewiadoma. Dzisiaj już te wspomnienia nie wzbudzają żadnych emocji, przeminęły, zabiłżniły się. Jedyne, co pozostało, to fizyczny ból i rany na ciele.

Minęły lata, kto nie znał przeszłości Mariki nigdy nie domyśliłby się, że jest to dziewczyna z niepełnosprawnościami, że na co dzień walczy z bólem i licznymi ograniczeniami. Patrząc na nią widzi ładną, szczupłą brunetkę o uśmiechniętej twarzy i piwnych oczach, które za kocimi okularami skrywają głęboki smutek i cierpienie. Marika wspomina cały przebieg swojej ostatniej pracy, która była dla niej sensem życia, spełnieniem się i poczuciem, że jest potrzebna.

Wszystko zapowiadało się tak dobrze. Miała przecież, wysokie kwalifikacje, staż, dwukierunkowe wykształcenie i nie najgorszą prezentację. Rzeczywiście początek był dobry. Nikomu nie przeszkadzało, że ma ustaloną grupę inwalidzką. W zasadzie szefostwo patrząc na Marikę nie do końca brało na serio jej słowa o uszczerbku na zdrowiu i pewnych ograniczeniach. Wizualnie nic nie wskazywało, że coś może jej dolegać. Marika wiedziała, że w poprzednich zakładach sytuacja zawsze wyglądała podobnie. Start zawsze był kolorowy, ale potem przychodziło fizyczne zmęczenie, niedomagania, nasilenie choroby i w ostateczności zwolnienie. Miała jednak nadzieję, że tym razem będzie inaczej.

Stanowisko było samodzielne, a zatem mogła wykonywać pracę w swoim tempie, bez stresu i bez presji ze strony współpracowników.

Pełna zapału rozpoczęła nowe zatrudnienie w dzień swoich imienin. Pamięta, jak cały dzień lał deszcz. Przypomniały jej się słowa babci, która mówiła, że gdy zaczyna się coś nowego i ważnego w życiu, a w tym dniu pada, to znaczy że jest to zły znak i źle się to skończy. To przeczucie nie opuszczało Mariki przez cały dzień. Czyżby faktycznie to przesłanie miało się spełnić? Jak się okazało, niestety spełniło się niecałe pięć lat później.

Pierwsze dwa lata Marika realizowała się zawodowo, zyskała uznanie większości współpracowników, środowiska oraz lokalnych władz i społeczeństwa. W momencie gdy wszystko układało się tak dobrze, organizm zaczął dawać znaki, że już jest przeciążony. Zbyt długie przesiadywanie w pracy, częste nadgodziny, uczestnictwo w akcjach społecznych sprawiły, że uszkodzony kręgosłup nie był w stanie udźwignąć takiego obciążenia. Silne bóle, stres doprowadziły, że Marika przestała być dyspozycyjna przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, co z kolei doprowadzało co coraz częstszej absencji w pracy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczął się zmieniać stosunek zarówno przełożonych, jak i współpracowników do samej Mariki. Mimo iż nie zaniedbywała swoich obowiązków, to już nie spotykała się z życzliwością ze strony kolegów i koleżanek. Poza plecami zaczęto snuć intrygi i planować, jak dyskretnie pozbyć się Mariki. Niejednokrotnie zarzucano jej brak dyspozycyjności i zdrowia. Takie zwroty, jak „po co taka inwalidka żyje”, czy „wylejmy tę chorowitą babę”, były wypowiedane niby przypadkiem, ale tak, aby Marika je słyszała.

Z biegiem czasu okazywanie niechęci i liczne przytyki dotyczące zdrowia były jeszcze gorsze. Marika była całą sytuacją nie tylko zmęczona, ale i zestresowana. Nie rozumiała, dlaczego instytucja, która publicznie uczestniczy w promocji społeczeństwa bez barier, sama wobec własnego pracownika te bariery stwarza. Ostatecznie Marika zrozumiała, że dłużej nie może znosić upokorzeń i podjęła decyzję

o odejściu z pracy. Wcześniejsze próby rozwiązania problemu nie przynosiły efektów, dlatego po pięciu latach swojej pracy Marika położyła na biurko szefa wypowiedzenie, zabrała swoje rzeczy i bez słowa opuściła siedzibę firmy, aby nigdy, przenigdy do niej już nie wrócić.

Teraz wpatrzona w spływającą kroplę deszczu postanowiła, że nikt i nigdy już jej nie obrazi, ani nowy pracodawca, ani nawet pani w autobusie, która widząc Marikę siedzącą na miejscu przeznaczonym dla inwalidy musi ten fakt skomentować, nie zastanawiając się nawet, że przecież młoda osoba też może być inwalidą. Od tej pory Marika przestaje być naiwną wariatką wierzącą, że ludzie są dobrzy, że może liczyć na ich wsparcie i pomoc. Od tej pory będzie walczyła w tej dżungli zakłamania i obłudy tak jak wszyscy zdrowi ludzie i pokaże, że ich świat to też jej świat.

Podniosła dumnie głowę, odgarnęła kosmyki włosów, które zsunęły się na policzek i wyszła przyjrzeć się z bliska ludziom żyjącym w jej świecie.

Lucy

*Wierszem
pisane*





„Pokażę Ci swój świat”

Widzę swój świat moimi oczami.
Swoj piękny świat, kolorowy jak piękne motyle,
które przyszły na świat.
Widzę ten piękny świat jak malowane: jeziora, góry, lasy i morza.
Widzę ten piękny świat, który otacza nas.
Malowany świat pokażę ci, swój piękny świat.
Bajkowy jak zaczarowany, jak narysowany.
Jak słońce, jak tęcza malowana,
jak gwiazdy błyszczące w ciemności.
Taki jest świat widziany moimi oczami.

Agnieszka Troszyńska

Piesek mój

Pewnego dnia wiosennego,
dostałam pieska kochanego.
Na początku był bardzo malutki,
z czasem niewiele urósł, ale stał się okrągłutki.
Straszny był z niego rozrabiaka
i w domu była nieraz wielka draka.
W swoim małym serduszku ma wiele miłości
i nic z ludzkiej zazdrości.
Gdy na sercu ciężko mi,
w jego oczach widzę łzy.
Gdy życie dla mnie smutne i złe,
to mój piesek pilnuje mnie.
Bywają też radosne dni,
wtedy z moim pieskiem wesoło mi.
W życiu bywają dobre i złe dni,
lecz wiem, że mój piesek będzie zawsze wierny mi.

Anna Zart

Smutek

Za oknem deszcz, wichura i burza,
a mnie wszystko wkurza.
Tak wiele w życiu mi obiecywałeś,
nawet powiedzieć żegnam, na końcu nie umiałeś.

Po co było całować i kłamać,
chyba po to, by mi serce złamać.

W moim sercu jest wielka rana,
bo nigdy nie byłam przez Ciebie kochana.

Dlaczego tak długo mnie okłamałeś,
skoro i tak mnie nie chciałeś.

Przez ciebie życie jest smutne i złe,
chciałabym powiedzieć, że nie Kocham Cię.

Przez Ciebie jest smutno mi,
po Tobie pozostaną tylko łzy.

Anna Zart

Mama

Gdy mnie smutne dni dopadną,
to wspominam moją mamę kochaną.
Wspólne spacery i razem spędzone dni,
lecz już Cię nie ma i na sercu ciężko mi.
Pamiętam uśmiech Twój, gdy się radowałaś
i smutne oczy, kiedy cierpiałas.
Bez ciebie życie smutne i złe,
za Tobą tęskni serce me.
Bez Ciebie jest mi bardzo źle,
chciałabym na Ciebie spojrzeć i powiedzieć **kocham Cię**.
Wiem, że nie zawsze Cię słuchałam i na dyskoteki uciekałam.
Czas leci i goi rany, lecz nikt przeze mnie,
tak jak ty, nie będzie kochany.
Czemu odeszłaś, mnie zostawiłaś,
kocham cię - mi zawsze mówiłaś.
Lecz wiem, że przez cały ten czas byłam córką kochaną,
a Ty dla mnie byłaś najwspanialszą mamą.

Anna Zart

Serce pełne miłości

Boli mnie serce, płyną mi łzy,
Ja kocham Cię przez wszystkie me dni.
Chcę żebyś wiedział, że innych chłopaków miałam,
lecz żadnego z nich, tak jak Ciebie nie kochałam.

Boli mnie serce, boli mnie dusza,
lecz mego serca już nikt inny nie rozrusza.

Gdybyś Ty wiedział, co do Ciebie czuję,
może byś zrozumiał, dlaczego tak postępuję.

Uciekam, gdy Cię widzę, odwracam głowę,
bo wstyd mi za to wszystko, co zrobiłam Tobie.

Pragnę miłości, ale ona zbyt piękna jest, by mnie spotkała.

Pragnę miłości, ale ona zbyt piękna jest,
bym innego pokochała.

Więc wiedz choć o tym, że jest ktoś, kto dawno poznał Cię
i do dziś ze łzami w oczach **Kocha Cię.**

Anna Zart